

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

3/154
2018 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 3 (154) 2018 Rok wyd. XXVII • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



**Prof. Tomasz
NAŁĘCZ**
o *Strażnikach
Rzeczypospolitej* – swojej
najnowszej książce

czytamy s. 7

**Witamy XIII Zjazd Krajowy
Towarzystwa Kultury Świeckiej
im. Tadeusza Kotarbińskiego**

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- Mgła smoleńska wciąż wisi nad Polską
- *Quo vadis* prokuratury?
- III Kongres FORUM POSTĘPU

SCENA POLSKA

Z prof. Tomaszem NAŁĘCZEM o prezydentach
III RP rozmawia Wiesław Łuka
Robert SMOLEŃ o sytuacji na polskiej lewicy

SUPLEMENT

Zdzisław CACKOWSKI (1930-2016):
O Jego życiu i dziele piszą – Paweł BYTNIIEWSKI,
Marek HETMAŃSKI, Andrzej KAPUSTA,
Jan POMORSKI i Lech WITKOWSKI s. I-XX

SCENA MIĘDZYNARODOWA

Profesora Stanisława BIELENIA lekcje roztropnego
myślenia o współczesnym świecie

ŚWIADECTWA

Wiesław SZTUMSKI: czy możliwy kompromis
między nauką a religią?

W FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Maria SZYSZKOWSKA • Eugeniusz KABATC
• Wacław SADKOWSKI

O książkach, czasopiśmie z różnych pól
i Henryka DOMAŃSKIEGO *Obserwacje*

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Witamy XIII Zjazd Krajowy TKŚ

im. Tadeusza Kotarbińskiego

Danuta WANIEK

O państwie laickim/1

Zdzisław SŁOWIK

Mgła smoleńska wciąż wisi nad Polską/3

Wacława MIELEWCZYK

W kręgu poszukiwań programowych/4

Andrzej BIERNACKI

Quo vadis prokuratury?/5 i 37

Anna DĘBOGÓRSKA

Nagroda im. Tadeusza Kotarbińskiego

Uniwersytetu Łódzkiego/6

SCENA POLSKA

Niezłomność we mgłach

Z profesorem Tomaszem NAŁĘCZEM rozmawia

Wiesław Łuka/7-13

Robert SMOLEŃ

Sytuacja na lewicy/7-14

POSTSCRIPTUM: Tomasz NAŁĘCZ

Rydwan Kaczyńskiego/15

WSPÓŁCZESNY ŚWIAT

Andrzej BIERNACKI

Stanisława BIELENIA lekcje roztropnego

myślenia/17

POSTSCRIPTUM: Stanisław BIELEŃ

Rekoronacja „cara”/19

Daniel ZBYTEK

Tasmania – wyspa ponurego brytyjskiego więzienia,
diabła tasmańskiego i wspaniałej przyrody/21

ŚWIADECTWA

Wiesław SZTUMSKI

W kwestii kompromisu między nauką i religią/25

Wacława MIELEWCZYK

Z debat u Profesor Ireny WOJNAR

Humanistyczne alternatywy/27

Adam SŁOWIK

Kryprowaluty już nie obce/29

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Maria SZYSZKOWSKA

Szczęście a edukacja/32

Eugeniusz KABATC

Niewinny oddech władzy/33

Wacław SADKOWSKI

U źródeł inspiracji/34

O KSIĄŻKACH Z RÓŻNYCH PÓLEK

Radosław S. CZARNECKI

Wyprawy krzyżowe nad Bałtykiem/38

ŚWIADECTWO PAMIĘCI

Józef TEJCHMA wspomina

zmarłego Przyjaciela/40

KRONIKA Z działalności Rady Koszalińskiej
TKŚ/III s. okł.

RES HUMANA bardzo dziękuje
za cenne wsparcie

ZAiKS

Stowarzyszenie Autorów

Suplement

I..... Od Redakcji „RES HUMANA”

I..... Wstęp Marek HETMAŃSKI

II..... Paweł BYTNIEWSKI

IV..... Marek HETMAŃSKI

VII..... Andrzej KAPUSTA

X..... Jan POMORSKI

XVI..... Lech WITKOWSKI

OBSERWACJE Henryka DOMAŃSKIEGO s. IV okł.

RADA REDAKCYJNA: Eugeniusz KABATC, Paweł KOZŁOWSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Dionizy TANALSKI, Jerzy J. WIATR – przewodniczący Rady

REDAKCJA: Marek JAWORSKI, Tomasz KOZŁOWSKI, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Robert SMOLEŃ – z-ca redaktora naczelnego, Daniel ZBYTEK

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 22 625-44-69 lub 605-101-072,
e-mail: reshumana@o2.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego
www.kulturaswiecka.pl Czasowo strona internetowa jest zawieszona.

Druk w Drukarni ACAD w Józefowie

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Witamy XIII Zjazd Krajowy TKŚ im. Tadeusza Kotarbińskiego

W malejącym gronie przyjaciół humanistycznej kultury świeckiej, co stwierdzamy z żalem i troską, spotykamy się na kolejnym, trzynastym już z rzędu Krajowym Zjeździe naszego Towarzystwa, aby ponownie dać świadectwo naszej obecności w liczącej ponad sto lat sztafecie, która współtworzy nieprzerwanie polską historię, wpisując w jej dzieje ideały humanizmu, tolerancji, racjonalnego myślenia oraz troskę o państwo neutralne światopoglądowo, jako dobro wspólne wszystkich jego obywateli. Uczestniczy w tej sztafecie „RES HUMANA”, dzieląc radości i troski naszego ruchu z myślą o tym, co przed nami.

Spotykamy się więc, aby podsumować to, co mijającym czterolecu udało się nam wspólnie uczynić dobrego dla Polski, a udało wiele, choć może jeszcze bardziej spotykamy się w poczuciu potrzeby roztropnego namysłu nad tym, co czynić dalej. Bądźmy najpierw przekonani o naszych racjach, które nie czynią Boga przedmiotem organizującym nasze myślenie i działanie, lecz myślmy o Człowieku, jako tym, co jest „wszystkich rzeczy miarą”; nie traktujmy również wiary ludzi wierzących za anachronizm, a tym bardziej za coś złego, ponieważ lepiej widzieć w nich sojuszników naszej wspólnej troski o dobro człowieka w jego ziemskim i ludzkim wymiarze. I nie sądzmy wreszcie, że wszystko inne, co czynimy ma nam przynosić szybkie czy spektakularne efekty. Bo działania nasze wymagają, sądzimy, cierpliwości i czasu, aby zobaczyć ich efekty: choć widzimy je śledząc malejący stopień uczestnictwa wielu ludzi →

Danuta
WANIEK

O państwie laickim

Rozróżniam „laicyzm” i „laickość”. Według mnie „laicyzm” to koncepcja rozdziału od państwa, warunkująca brak wpływów religijnych na działalność państwową. Z kolei „laickość” skłania się ku realizacji tej koncepcji w praktyce politycznej: państwo uznaje się za niekompetentne w sprawach religii, uznaje swoją neutralność światopoglądową, a przy podejmowaniu decyzji żadna z władz nie jest motywowana religijnie. Pozycjonowanie w ten sposób państwa i religii nie wyklucza obszarów współpracy i doradztwa, jednakże przy respektowaniu wzajemnej autonomii. →

wierzących w niedzielnych kościelnych mszach. I widzimy postępujące traktowanie wiary coraz bardziej odświętnie, co dokumentuje dobitnie postępujący, mimo wciąż wielu przeszkód, proces laicyzacji społeczeństwa Polski współczesnej.

Przypominamy te, najkrócej tu wyrażone, fundamentalne idee i myśli programowe naszego ruchu i ich odzwierciedlenie w realiach naszego życia już na samym początku tych kilku słów na powitanie Zjazdu, bo nabierają dziś one wagi szczególnej wobec sytuacji, w której znalazł się nasz kraj pod rządami PiS. Doświadczamy z głębokim bólem skutków tych rządów widząc postępujące rujnowanie Rzeczypospolitej jako demokratycznego państwa prawa, burzenie jej społeczno-moralnego ładu, wnoszenie w codzienne polskie życie stanu rosnącego niepokoju i lęku, rujnowanie trójpodziału władzy, zwłaszcza niezależności sądów i podważanie niezawisłości sędziów; pozbawiania wielu grup obywateli, w tym emerytów i rencistów oraz osób zmarłych ich praw nabytych i ich ludzkiej godności; wreszcie izolowanie naszego państwa w Europie i świecie. I jest zapowiedź „duchowej przebudowy” Polaków, uczynienia z nich więźniów tej władzy, która Polskę traktuje jak swój folwark.

Nie możemy w tym miejscu nie wyrazić naszego głębokiego rozczarowania milczeniem polskiego Kościoła katolickiego wobec tego, co się dziś w Polsce dzieje, choć wiemy zarazem, że jest on dziś wielorako podzielony. Na tle jego znaczącego miejsca w polskiej historii i uznanej roli w ostatnich polskich przemianach ustrojowych, zdumiewa, powtórzmy, dziś jego nieobecność w sprzeczniwie wobec dziejącego się zła, a bywa, że i współdziałanie w czynieniu tego zła, na co wskazały z odwagą polskie kobiety w zdeterminowanym akcie obrony swojej godności i swoich praw.

W perspektywie tego wszystkiego, o czym tu ze ściśniętym sercem mówimy, jest miejsce i jest pilna potrzeba aktywnej obecności naszego ruchu w roztropnych działaniach, które na miarę naszych sił i możliwości, powinniśmy podejmować w poczuciu obywatelskiego obowiązku i w imię bliskich nam wartości. Każdy głos sprzeciwu, jest dziś wartością bezcenną.

I dlatego uczynimy forum naszego XIII Zjazdu Krajowego miejscem wołania o godność człowieka w kraju bez opresji, podejrzliwości i organizowanej nienawiści; i przekształćmy to wołanie w czyn zapewniający człowiekowi jego wolność stanowienia o sobie samym i życie w przyjaznym, sprawiedliwym, ludzkim i realnym świecie.

Życmy sobie, uczestnicząc w naszym Zjeździe i dniach kolejnych, powodzenia w kształtowaniu takiego świata i życia.

Zespół „RES HUMANA”

Danuta
WANIEK

O państwie laickim

W dużym skrócie można powiedzieć, że za myśl państwa świeckiego, neutralnego światopoglądowo, w którym człowiek ma na gruncie prawnym zagwarantowaną wolność sumienia i wyznania, najlepiej realizuje koncepcja państwa laickiego. Laickość można określić jako cechę państwa, które nie dopuszcza do dyskryminacji w przestrzeni publicznej jego obywateli ze względu na wyznanie lub bezwyznaniowość, chroni w jednakowym stopniu ludzi wierzących jak i niewierzących. W tym kierunku idzie otwierająca naszą Konstytucję preambuła, która stanowi że my, Naród polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga, jak i nie podzielający tej wiary, jesteśmy równi w prawach i powinnościach wobec dobra wspólnego – Polski. Wierzący mają w Polsce większość, ale i niewierzący to kilka milionów obywateli, których interesów nie powinno się lekceważyć. Tekst preambuły uważam za humanistyczny majstersztyk nad jej treścią pracowali m.in. prof. S. Wilkanowicz i T. Mazowiecki. Nie ulega wątpliwości, że tym

Dokończenie na s. 15–16

Mgła smoleńska wciąż wisi nad Polską

Ta tragiczna katastrofa pod Smoleńskiem sprzed ośmiu laty mogła odwrócić zwrotnice biegu wielu spraw Polski, już wtedy dotkliwie podzielonej i szarpanej emocjami przekraczającymi rozsądek, umiar i zwykłą przyzwoitość. W szacunku dla pamięci tych, którzy utracili tam życie, a utraciła je reprezentacja narodu polskiego, osoby o różnych poglądach na sprawy Polski, a zarazem przekonani o potrzebie zgody w sprawach fundamentalnych, w poszukiwaniu których przekroczyli próg prezydenckiego samolotu, aby wspólnie złożyć w Katyniu hołd pamięci poległych tam rodaków – otóż nawet ta tragiczna wspólna śmierć nie odmieniła polskiego losu.

Dlaczego nie stała się inspiracją do wspólnego odczytania tej tragedii i stworzenia warunków narodowego porozumienia, którego konieczność narzucała się z siłą niezwykłą? Dlaczego Polska po Smoleńsku rozeszła się jeszcze bardziej? Dlaczego stała się więźniem tragedii smoleńskiej i dlaczego musimy wciąż żyć we mgle smoleńskiego kłamstwa? To pytania tyle fundamentalne, co wciąż aktualne. Nawet teraz, kiedy na warszawskim Placu Piłsudskiego, na zamkniętej w istocie dla ogółu społeczeństwa uroczystości, odsłonięto pomnik pamięci ofiar katastrofy. Oglądaliśmy ją w przekazie telewizyjnym i wyglądała jakby to była wyłączną własnością Jarosława Kaczyńskiego i jego partii. Dlatego apele prezesa i prezydenta o uznanie pomnika za wartość prowadzącą do narodowego porozumienia nie zabrzmiały, mówiąc najogólniej, wiarygodnie.

W minionych latach staraliśmy się w naszym czasopiśmie podejmować próby odpowiedzi na te pytania, także zachęcając Jarosława Kaczyńskiego do takiej odpowiedzi jako pierwszego i najważniejszego świadka tego dramatu. Dla niego osobiście dramatu szczególnej miary, czego nie wolno oczywiście nie doceniać, a nawet do pewnego stopnia rozumieć. Ale wszelkie próby choćby zminimalizowanej racjonalności w myśleniu o Smoleńsku ignorowano wyniosłym milczeniem. Zamiast narzucającej się tutaj drogi dialogu jako sposobu porozumienia a nie zanurzania w coraz gęstszej mgle kłamstwa, wybrano drogę zastraszania, szykanowania czy wreszcie szukania winnych smoleńskiej katastrofy wszędzie poza winą własną tych wszystkich, którzy wciąż w stopniu największym (choćby niektórzy ministrowie obecnego rządu), są depozytariuszami wiedzy o rzeczywistej prawdzie smoleńskiej. Ale oni milczą zakłęcie, uczestnicząc w działaniach nękających choćby Donalda Tuska, ze wszystkimi tego następstwami rujnującymi obraz Polski w oczach demokratycznej Europy.

Lecz nie traćmy nadziei na dotarcie do prawdy, która, choć oczywista, wciąż pozostaje więźniem interesów dalekich od rozumienia jej w kategoriach moralnych, bo skupionych na sprawowaniu władzy i płynących z niej także osobistych korzyści. Odsunięcie na bok Antoniego Macierewicza, gorliwego kłamcy smoleńskiego, to znak ku pewnej racjonalności. Nawet takiej, na którą zdobył się Jarosław Kaczyński w dniach ostatniej miesięcznicy smoleńskiej, mówiąc otwartym tekstem, że śmierć jego brata, była wehikułem wiodącym do uzyskania przez PiS wyborczego zwycięstwa blisko trzy lata temu.

Powiedzmy sobie szczerze: takie zachowanie politycznej formacji rządzącej dziś Polską, i jej prezesa, nie wystawia jej najlepszego świadectwa moralnego. A ono powinno być, w naszym głębokim przekonaniu, fundamentalną wartością legitymizującą każdą władzę publiczną.

Powiedzą w tym miejscu niektórzy z nas, że to szlachetne marzenie, dalekie od natury każdej władzy. Nie podzielamy tego przekonania. Ufajmy, że demokracja parlamentarna z jej szacunkiem dla wartości moralnych i społecznych służących dobru państwa i jego obywateli znajdzie siłę, aby pokonać trudny dla siebie dziś czas, także uwolnić polskie niebo od smoleńskiej mgły, która nadal nie pozwala oddychać czystym powietrzem.

Zdzisław SŁOWIK



FORUM
POSTĘPU
EDUKACJA
KULTURA
POLITYKA

III KONGRES FORUM POSTĘPU

WARSZAWA
21 KWIEŹNIA 2018 ROKU

W kręgu poszukiwań programowych

Trzecie już z rządu w corocznych odstępach czasu spotkanie środowiska polskiej lewicy zespolone w FORUM POSTĘPU, już przez sam fakt, który 21 kwietnia 2018 r. zgromadził w Warszawie jej przedstawicieli, stwarzając płaszczyznę otwartej i szczerzej debaty, wolno uznać za sukces inicjatywy FORUM. Tym cenniejszej w trudnych uwarunkowaniach, które doświadcza dziś polska lewica.

I o tych właśnie uwarunkowaniach, mieliśmy najpierw okazję usłyszeć z ust współorganizatorów spotkania: dr Sławomira WIATRA, przewodniczącego Komitetu Koordynacyjnego FORUM, dyr. Ireneusza BILA

z Fundacji AMICUS EUROPEA Aleksandra Kwaśniewskiego oraz dyr. Knuta DETHLEFSENA z Polskiego Przedstawicielstwa Fundacji im. Friedricha Eberta w Polsce, ważkich słów o wadze refleksji intelektualnej na temat sytuacji w Europie, w Polsce i w polskiej lewicy; refleksji zachęcającej do formowania myśli programowej zdolnej w działalności publicznej odmienić istniejące uwarunkowania i otworzyć drzwi wartościom lewicowym.

Wysłuchaliśmy następnie z uwagą, otwierającego kolejną część spotkania, obszernego wystąpienia dr Włodzimierza CIMOSZEWICZA, byłego premiera RP z lat rządów SLD-owskiej lewicy, jego refleksji o problemach, z którymi zmagają się dziś świat i Europa, także Polska; zwłaszcza o niepokojąco rosnących tendencjach nacjonalistycznych i ksenofobicznych w wielu państwach europejskich; o fali migracji i sposobów łagodzenia jej wielorakich skutków dla stabilności sytuacji europejskiej; o kwestiach praworządności i prawach człowieka oraz o działaniach niszczących niezależność sądów i niezawisłość sędziowską, jako filarów trójpodziału władzy demokratycznej (w kolejnym numerze czasopisma postaramy się tekst tego wystąpienia udostępnić naszym Czytelnikom).

Spotkanie w ramach FORUM POSTĘPU wypełnił z kolei panel dyskusyjny, moderowany przez Roberta SMOLENIA na temat „Polski w Europie”. W debacie, w której uczestniczyli dr Adam BODNAR, rzecznik Praw Obywatelskich, dyr. Ireneusz BIL, prof. Małgorzata NIEWIADOMSKA-CUDAK, przewodnicząca Forum Kobiet SLD oraz Franciszek STERCZEWSKI, aktywista miejski, organizator akcji Łańcuch Światła w Poznaniu poruszono rozległy krąg problematyki europejskiej, wyrażając głęboką troskę o Europę z powodu wielu dezintegracyjnych działań podejmowanych choćby przez rządy Węgier czy Polski. W debacie na ten temat dominował głęboki niepokój w przyszłość Unii Europejskiej, choć zarazem i troska o jej jedność, zdolną jeszcze skuteczniej łączyć interesy poszczególnych państw narodowych z interesami, które są dla nich wspólne.

W bogatej agendzie spotkania znalazło się też miejsce na pięć paneli dyskusyjnych, w czasie których formułowano diagnozę i określano perspektywy działalności polskiej lewicy w jej m.in. planie aksjologicznym (moderatorami byli dr Paweł SEKOWSKI, nowo wybrany prezes Stowarzyszenia „Kuźnica” oraz Sebastian GAJEWSKI z Centrum im. Ignacego Daszyńskiego); zastanawiano nad istotą przywództwa w działalności publicznej (moderowane przez Katarzynę DUDEŃ z Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle’a); debatowano o ruchach kobiecych w poszukiwaniu nowych form ich aktywności (moderatorką była Katarzyna KĄDZIELA z Funda-

cji im. Izabeli Jarugi-Nowackiej); dyskutowano o strategii na rzecz zrównoważonego rozwoju (prowadziła panel Ewa SUFIN-JACQUEMART ze Strefy Zielonych i na końcu wielce ważny i aktualny temat: o lewicy wobec wyborów samorządowych w Polsce moderowany przez Jana Kazimierza CZUBAKA ze Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska.

Uczestniczyliśmy w debatach o wadze szczególnej, bo opartych na bogatej wiedzy i doświadczeniu ich uczestników, zaangażowanych osobiście w sprawy, które poruszali z bliskiej im perspektywy myśli lewicowej. To dobra wiadomość dla wszystkich ludzi lewicy i nie mniej dla Polski.

Słowa szczerego podziękowania należą się więc wszystkim osobom skupionym w FORUM POSTĘPU za ich trud w stworzeniu wyjątkowo serdecznej atmosfery, w której przebiegało to ważne spotkanie. To wartość tyle dodana, co nieoceniona.

Wacława MIELEWCZYK

RES
tam
była

Quo vadis prokuratura?

To drugie w nieodległym od siebie czasie ważne wydarzenie na Uniwersytecie Warszawskim, którego współorganizatorem stał się Wydział Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych tej uczelni. Pierwszym wydarzeniem przypomnijmy, była dwa spotkania, które u końca października minionego roku skupiły uwagę zebranych na polsko-rosyjskich stosunkach kulturalnych oraz na kwestii rewolucji w myśli i praktyce politycznej na przykładzie rosyjskiej Rewolucji Październikowej.

Tym razem, 9 marca 2018 r. wspomniany Wydział Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych i jego dziekan prof. Stanisław SUŁOWSKI otworzyli progi uczelni polskim prokuratorom zrzeszonym w Stowarzyszeniu „Lex semper omnia”, aby zastanowić się nad „Prokuraturą w Polsce XXI: wyzwaniach ustrojowych i procesowych”. Dodajmy, że Stowarzyszenie to skupia część polskich prokuratorów, którzy nie podzielają m.in. obecnych zmian w polskiej prokuraturze i dają temu wyraz w swojej działalności publicznej.

Spotkanie na Uniwersytecie było pomyślane jako spotkanie praktyki i doświadczenia prokuratorów z myślą ludzi nauki, zwłaszcza profesorów nauk prawnych, na ten tyle doniosły, co aktualny dziś w Polsce temat. Po słowach wprowadzających prof. Stanisława SUŁOWSKIEGO oraz prok. Krzysztofa PARCHIMOWICZA, prezesa wspomnianego Stowarzyszenia Prokuratorów, głos kolejno zabierali: prof. Mirosław WYRZYKOWSKI z Uniwersytetu Warszawskiego, a zarazem sędzia Trybunału Konstytucyjnego w st. spocz. (mówił na temat złożonych relacji pomiędzy istotą prokuratury a duchem polskiej konstytucji, w której choć nie ma wprost słowa o prokuratorze, to są w niej ogólniejsze przesłania na jej temat, kiedy mowa o systemie polskiego wymiaru sprawiedliwości czy o prawach i obowiązkach człowieka i obywatela); z kolei prof. Marek CHMAJ (SWPS) i dr hab. Jacek ZALEŚNY z UJ, mówili o niezależności prokuratury i prokuratorów, a prok. Jacek BILEWICZ przedstawił pozycję ustrojową prokuratury w świetle standardów europejskich i międzynarodowych.

Wyłoniła się z przedstawionych relacji nie tylko, różnie zresztą rozwiązywana w wielu państwach, kwestia miejsca prokuratury w systemie wymiaru sprawiedliwości, to znaczy jako samodzielnego podmiotu odpowiedzialnego przed parlamentem czy też jako ogniwa funkcjonującego w ramach resortu sprawiedliwości danego państwa. Problemy, jakie wynikają z tej dwoistości statusu ustrojowego prokuratury, mogą być zupełnie poprawne i dobrze służyć państwu, obywatelom i wreszcie samym prokuratorom. Ale mogą też być wielkim wyzwaniem, czego dowodem jest obecne miejsce polskiej proku-

Dokończenie na s. 37

Nagroda im. Tadeusza Kotarbińskiego

Uniwersytetu Łódzkiego

FAKT

Uniwersytet Łódzki już po raz czwarty ogłosił otwarcie Nagrody im. Tadeusza Kotarbińskiego na wybitne prace naukowe z zakresu nauk humanistycznych. U końca tego roku Kapituła Nagrody ogłosi wyróżnione tą Nagrodą dzieło.

Przyznajmy: w dobie postępującej deprecjacji humanistyki na rzecz prac tworzonych przez ekonomię na użytek rynku czy na coraz bardziej wyszukane potrzeby ze sfery często zbędnych instrumentów komunikacji elektronicznej. Nagrodę z dziedziny humanistyki wolno uznać za wydarzenie tyle odświeżające, co zasługujące na najwyższe uznanie. Płyne ono z przekonania o wadze humanistyki jako istotnego warunku kształtowania społeczeństwa zdolnego stawić czoła wyzwaniom współczesnym. Refleksja humanistyczna bowiem jest, jak żadna inne sfery ludzkiej wiedzy, zdolna najlepiej wyjaśniać istotę współczesnych czasów i udzielać odpowiedzi na pytania jakie ten czas stawia nam wszystkim i domaga się naszych odpowiedzi. Filozofia, etyka, psychologia czy literatura i sztuka – to pierwsze z brzegu dyscypliny, bez których nasze życie pozabawione byłoby sensu, celu i wartości.

W słusznej opinii inicjatorów Nagrody powstaje dziś w Polsce wiele wybitnych prac z dziedziny nauk humanistycznych, które pozostają niezauważone i które odzwierciedlają zarazem jej rozległy potencjał naukowy. Jest sukcesem twórców Nagrody kształtowanie się ogólnopolskiego środowiska wybitnych humanistów, którzy w przyszłości będą wyznaczać kierunki rozwoju tej nauki.

Wagę nagrody wzmacnia osoba jej Patrona – profesora Tadeusza Kotarbińskiego, pierwszego rektora Uniwersytetu Łódzkiego w powojennej Polsce. I to właśnie z tych inspiracji – intelektualnej i moralnej zrodziła się idea nagrody i jej przesłanie. Co więcej, Uniwersytet Łódzki pragnie naukom humanistycznym nadać charakter priorytetowy w całości swojej działalności naukowej i dydaktycznej.

Nasze czasopismo wraz z Towarzystwem Kultury Świeckiej, którego duchowym patronem jest Tadeusz Kotarbiński, witają tę inicjatywę Uniwersytetu Łódzkiego z całą serdecznością, deklarując zarazem otwarcie swoich łamów na popularyzację tego doniosłego dzieła.

Anna DEBOGÓRSKA

ZAPROSZENIE „RES HUMANA”

do odnowy prenumeraty lub jej podjęcia w 2018 roku

Zapraszamy też do uczestnictwa w gronie Dareźników FUNDUSZU WSPARCIA „Res Humana”: z niego czerpiemy środki, dzięki którym zapewniamy ciągłość naszego istnienia, naszą niezależność myślenia i działania.

Informujemy, że koszt prenumeraty „Res Humana” w 2018 roku wynosi 45 złote (w tym koszty przesyłki pocztowej), które prosimy przekazywać Redakcji (Warszawa, ul. Koszykowa 24/1) przelewem bankowym na konto nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146.

Czekamy na wszystkich Państwa w „RES HUMANA”.

Redakcja „RES HUMANA”

SCENA POLSKA

Nieźłomność we mgłach

Z profesorem Tomaszem NAŁĘCZEM rozmawia Wiesław Łuka

Wiesław ŁUKA. **Chcę nazwać *Strażników Rzeczypospolitej* książką monumentalną. Jeżeli jeszcze czegoś jej brakuje do tego miana – to czego?**

Tomasz NAŁĘCZ. Na takie pytanie mogą odpowiedzieć tylko czytelnicy i recenzenci książki. Autor może tego tylko wysłuchać. Najlepiej – z uwagą i pokorą.

Czy reportersko-historyczne sylwetki kolejnych „strażników” Polski (po jej transformacji) Pan Profesor sukcesywnie opisywał i analizował zaraz po zakończeniu ich kadencji, czyli na gorąco, czy też nabierał Pan krótkiego, ale jednak naukowego do nich dystansu?

Wykorzystywałem metody badawcze stosowane w historii i politologii. Zwłaszcza warsztat historyka wymaga choćby minimalnego dystansu wobec opisywanych wydarzeń. Sądzę, że byłoby wręcz niemożliwe ocenianie każdej prezydentury tuż po jej zakończeniu, a potem proste zsumowanie tych tekstów.

Im dłuższy jest dystans obserwacji, tym wiedza obszerniejsza i bardziej zobiektywizowana. Rzecz jasna, różnie to wyglądało w przypadku kolejnych prezydentów. Książka powstała w latach 2015–2017.

Robert SMOLEŃ

Z perspektywy socjologicznej

Sytuacja na lewicy

Jeśli coś pozytywnego pozostanie po rządach PiS, to będzie to upowszechnienie się przekonania, iż państwo opiekuńcze jest nie jakimś odległym ideałem, lecz jak najbardziej realnym modelem społeczno-gospodarczym.

Prawo i Sprawiedliwość wdraża swoje projekty socjalne na oślep, nieefektywnie, nieodpowiedzialnie, kierując się politycznym cynizmem. Sensem transferów „Rodzina 500 plus”, „Mieszkanie plus”, dofinansowania domów dziennego pobytu z programu „Senior plus”, bezpłatnych (rzekomo) leków dla najstarszych czy „Resortowego programu rozwoju instytucji opieki nad dziećmi w wieku do lat 3 – Maluch plus” (wsparcie dla samorządów i podmiotów prywatnych przy tworzeniu żłobków i innych instytucji opieki nad najmłodszymi) wymyślone przez W. Kosiniaka-Kamysza i trwające

od 2011 roku, przy którym w zeszłym roku niespodziewanie pojawił się charakterystyczny znak „+”) jest utrzymanie poparcia dla partii rządzącej.

Jednak – niezamierzonym, jak sądzę – efektem tych działań stało się ugruntowanie poglądu, że obowiązkiem państwa jest aktywność w stosunku do społeczeństwa: powinno ono redystrybuować dochód narodowy, działać na rzecz spłaszczania różnic w poziomie życia, wyrównywać szanse, inicjować innowacyjne projekty biznesowe o skali przekraczającej możliwości pojedynczych firm itp. Przez 28 lat transformacji w polskim społeczeństwie nie zaszczepił się indywidualizm, konsumpcjonizm i leseferizm. Przynajmniej nie na tyle głęboko, by wykorzystać oczekiwanie, iż w razie potrzeby nikt nie zostanie przez państwo porzucony, pozostawiony sam

Przyznaje Pan we wstępie do dzieła, że nie był w stanie patrzeć na poszczególnych bohaterów sylwetek „wyłącznie szkiełkiem i okiem badacza”. Zechce podać parę sytuacji, w których wyjątkowo trudno było powściągnąć emocje autora – polityka, współuczestnika wydarzeń, na rzecz zobiektyzowanych ocen naukowca? Czy korygował je Pan?

Swoje oceny tzw. świadka historii, formułowane na temat kolejnych prezydentów w czasie ich urzędowania, jako badacz weryfikowałem wielokrotnie.

Nie ukrywam, że w latach 1990–1995 należałem do krytyków prezydenta Wałęsy. Po gruntownym zapoznaniu się z jego prezydenturą znacznie mi ona wypiękniała. Zrozumiałem ograniczenia, na jakie napotkał. Doceniłem dorobek, jaki po sobie pozostawił. M.in. to, że populistą był w słowach, ale nie uczynkach. Jeśli chodziło o kwestie o znaczeniu strategicznym potrafił twardo stąpać po ziemi. W kampanii wyborczej 1990 r. suchej nitki nie pozostawiał na reformie Balcerowicza. Jako prezydent Balcerowicza bronił i skutecznie paraliżował działania jego przeciwników, których przecież nie brakowało – z lewa i z prawa.

Inna kwestia. Nie popierałem kandydatury Aleksandra Kwaśniewskiego w 1995 r., bo uważałem, że jego wygrana trwale podzieli Polskę. Tymczasem bardzo szybko potrafił on zjednać sobie zaufanie znacznej części osób odmawiających mu poparcia w wyborach.

Pierwszy ze „strażników”, generał Wojciech Jaruzelski podczas narady w Belwederze z ówczesnym wicepremierem, Leszkiem Balcerowiczem, posłużył się cytatem z Biblii: „Pismo Święte mówi, że świat wyłonił się z chaosu”. Wicepremier, atakowany, jak pamiętamy, z różnych stron za epokowe, choć trudne dla społeczeństwa reformy, usłyszał od prezydenta-generała także wojskowe, mądre wsparcie: „Strategia wojenna mówi, że lepsze niedoskonałe rozwiązanie na czas, niż doskonałe po czasie”.

W oparciu o dostępne źródła nie da się precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie o rzeczywiste powody wsparcia, jakiego prezydent Jaruzelski udzielał ekipie premiera Tadeusza Mazowieckiego. Bo przecież generał nie wspierał tylko reform Balcerowicza. Nie ulega wątpliwości, że najpóźniej w grudniu 1989 r. pogodził się z dokonującą się wielką zmianą ustrojową i lojalnie współpracował

Robert SMOLEŃ

sobie. Długo wydawało się to tylko nieśmiałym marzeniem, dopiero PiS zachęcił do myśli, że takie państwo naprawdę może istnieć.

Prawo i Sprawiedliwość adresuje swoją politykę do grup, które – idąc śladem badania prof. Jana Garlickiego, które przytaczałem analizując w poprzednim numerze *Res Humana* prawe oblicze polskiego społeczeństwa¹ – można określić jako „socjalkonserwatystów” i „populistów”.

Jednak idea państwa opiekuńczego, ale odpowiedzialnego, zdolnego do rozwoju, trwałego (nie skrojonego na jedną kadencję – byle by wygrać następne wybory), powinna trafiać przede wszystkim do tych, których J. Garlicki nazwał „neosocjaldemokratami”. Wyróżnia ich 5 cech:

– pogląd, iż optymalną strukturą gospodarki jest mieszana forma ustroju gospodarczego opartego na własności prywatnej i państwowej;

– jeśli chodzi o skład grupy rządzącej, to zdaniem tej części obywateli rządzić powinni zawodowi politycy lub pracownicy umysłowi (socjalkonserwatyści widzieli w tej roli raczej przedsiębiorców lub właścicieli małych firm, a liberałowie – technokratów, ewentualnie intelektualistów);

– pytani o to, interesy których grup społeczeństwa powinny być zaspokajane przez ośrodek władzy w pierwszej kolejności, opowiadają się za zasadą realizacji w zbliżonym stopniu interesów różnych grup i warstw (socjalkonserwatyści preferowali realizację interesów warstw średnich);

– w kwestii sposobu sprawowania władzy jednoznacznie optują za demokracją parlamen-

¹ J. Garlicki, *Demokracja i integracja europejska. Studium osobistych i politycznych orientacji dwóch pokoleń Polaków*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005.

wał z przeprowadzającym te zmiany premierem Mazowieckim. Nie oprotował nawet wprowadzenia religii do szkół rozporządzeniem ówczesnego ministra edukacji, Henryka Samsonowicza, kiedy nie ulegało wątpliwości, że winno to nastąpić drogą zmiany ustawy.

Taka strategia mogła być podyktowana przez autentyczne przekonanie, że ta droga jest dla Polski najlepsza. Ale nie da się też wykluczyć motywacji bardziej koniunkturalnej, czyli nadziei, że wsparciem reform generał zyska rozgrzeszenie za to wszystko, co robił w czasach PRL.

Jeszcze jedno przypomnienie – generał podczas rozmowy z prymasem, Józefem Glempem na Jasnej Górze przestrzegwał, „aby w Polsce nie dokonał się żaden zamach stanu, ale legalna zmiana ustroju”.

Chodzi o rozmowę z sierpnia 1990 r. Trwała już wtedy solidarnościowa „wojna na górze”, na jaką Wałęsę namówił Jarosław Kaczyński. Generałowi zależało, by zamieszanie wywołane tym konfliktem utrzymać w ryzach prawa. Nie bronił swego stanowiska, bo wiedział, że zrobi najlepiej, gdy odejdzie z urzędu. Zabiegał tylko, by nie odwołano go ze stanowiska z naruszeniem konstytucji. Bał się precedensu, który mógłby zamienić solidarnościową rewolucję w rewoltę, o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

Znalazł zrozumienie u prymasa Głępa. A Kościołowi, zwłaszcza po solidarnościowej stronie, nikt nie śmiał się przeciwstawić. W wyniku działań zainicjowanych przez prymasa znowelizowano konstytucję; notabene w oparciu o prezydencki projekt ustawy zasadniczej. Zmiana prezydenta utrzymana została w ramach legalizmu.

O Lechu Wałęsie pisze Pan: „Świetnie wyczuwał nastoje społeczne. Dobrze rozumiał, że do władzy wyniosła go nadzieja Polaków na bardziej godziwe życie...” Dlaczego tak gwałtownie tracił Noblista poparcie? (Przed Belwederem spalono jego kukłę i było słycać okrzyki: „Precz z Wałęsą”).

Nie łączyłbym utraty społecznego poparcia przez Wałęsę z demonstracjami organizowanymi przez Jarosława Kaczyńskiego, bo o nich Pan mówi. Jak pokazały wybory z 1993, które partia Kaczyńskiego sromotnie przegrała, nie miał on za sobą szerszego poparcia społecznego.

tarń i władzą opartą na samorządach – i jest to jedyna grupa niewyrażająca zgody na rządy autorytarne:

– natomiast co do systemu dystrybucji dóbr wybierają kryterium pracy lub pracy i potrzeb.

Neosocjaldemokraci twierdzą, że zabezpieczeniem społecznym powinni być objęci wszyscy potrzebujący, a zakres opieki powinien być rozszerzany. Jako kraj-wzór do naśladowania najczęściej wymieniali Niemcy, Szwecję i – o dziwo – Stany Zjednoczone (dzisiaj, po 14 latach obecności w UE, z pewnością model amerykański cieszyłby się znacznie mniejszym zainteresowaniem). Na osiach podziałów: liberałowie – konserwatyści, lewica – prawica, egalitaryści – elitaryści najczęściej sami sytuowali się w centrum lub po stronie lewicowej i liberalnej. Na początku obecnego wieku politycznie

sympatyzowali z SLD i Unią Pracy, ale także ze stronnictwami uważanymi wówczas za liberalne. Nie jest to elektorat wyłącznie postpeerelowski: system sprzed 1989 roku oceniany był przez nich generalnie negatywnie. W ocenie praktyki politycznej III RP częściej niż w innych grupach formułowane były oceny dodatnie (choć w całości przeważała jednak także tutaj opinia krytyczna).

Podsumowując swoje badania, J. Garlicki zdefiniował poglądy neosocjaldemokratów jako „orientację [...] centrolewicową, [opowiadającą] się w istocie za modelem, który można nazwać trzecią drogą, modelem mieszanym pod względem rozwiązań stosowanych w gospodarce, a jednocześnie modernistycznym”.

Półtorej dekady temu obywatele o takim profilu stanowili największy segment – 36,9% Polaków. Blisko jedna trzecia (31,7%) miała poglądy

Przyczyn upadku Wałęsy szukać należy gdzie indziej. Najważniejszą było rozczarowanie znacznej części Polaków do zmian przeprowadzonych przez Solidarność po 1989 r., zwłaszcza do reform wicepremiera Balcerowicza. Naraził się też Wałęsa stylem, w jakim sprawował urząd.

Choć pamiętajmy, Wałęsa przegrał z Kwaśniewskim w 1995 r. o przysłowiowy włos. Stało się to już na finiszu kampanii wyborczej. Gdyby tak fatalnie nie wypadł w debacie telewizyjnej kandydatów przed drugą turą, byłby prezydentem przez kolejną kadencję.

Trzeci ze „strażników” – ocenia Pan Aleksandra Kwaśniewskiego – rozumował chłodno i pragmatycznie. Wymownie brzmi jego przestroga: „Ktoś, kto chce uprawiać politykierstwo, a nie politykę, wypada z gry...”.

Rola i znaczenie prezydenta nie bierze się tylko z jego konstytucyjnych kompetencji. To splot wielu czynników, w tym siły jego politycznego zaplecza oraz własnych cech charakterologicznych.

W książce zwracam uwagę zwłaszcza na tę ostatnią kwestię, bo była i jest zdecydowanie niedoceniana. Kwaśniewski był charakterologicznym przeciwstawieniem Wałęsy. Ten wyżywał się w konfliktach, czuł się w nich jak ryba w wodzie. Natomiast Kwaśniewski wolał wyciągać ręce do zgody. Musiał w tym celu wykraczać w urzędowaniu poza interes lewicy, której poparcie wyniosło go do władzy. Budziło to niezadowolenie przedstawicieli tej części sceny politycznej. Właśnie partyjny partykularyzm nazywał prezydent Kwaśniewski „politykierstwem” i przestrzegał przed nim kolegów.

Jakie korzyści, zdaniem Pana Profesora, widział on w polityce unikania konfliktów z rządami centroprawicowymi (AWS)? Czy chodziło tu o korzyści prezydenta, czy Rzeczypospolitej?

Tego tak naprawdę nigdy nie da się tego rozdzielić. W polityce pełnionej zgodnie z przepisami konstytucji nie ma sprzeczności między interesami prezydenta i Rzeczypospolitej. I tak właśnie prezydent Kwaśniewski traktował swoje relacje z rządem AWS-UW. Choć nie sposób nie zauważyć, że znacznie lepiej mu się współpracowało z ministrami zasiadającymi w rządzie z ramienia UW, np. szefem MSZ, Bronisławem Geremekiem i szefem MON, Januszem Onyszkiewiczem. Re-

Robert SMOLEŃ

zupelnie amorficzne („Nie sposób w tej zbiorowości odkryć jakiejś, względnie choćby spójnej, zestawy zasad”), inne kategorie były znacznie mniej liczne. Zapewne te proporcje wyglądałyby dziś odmiennie – choćby przez wzgląd coraz większego udziału w życiu publicznym przedstawicieli najmłodszego pokolenia, w którym nadreprezentowane wydają się być postawy narodowe i radykalnie konserwatywne. Nie ma jednak powodu, aby podejrzewać, że ta grupa nie pozostaje jedną z najliczniejszych w polskim społeczeństwie.

Centrolewica ma się do kogo zwrócić. Program Polski europejskiej, nowoczesnej i sprawiedliwej, przedstawiony w sposób wiarygodny, przez grono osób cieszących się zaufaniem i obdarzonych autentycznym autorytetem przez duże grupy społeczne, stałby się realną alternatywną zarówno dla populistycznej praktyki

politycznej PiS, jak też projekcji „cieplej wody w kranie” konserwatywnej, chadeckiej, antykomunistycznej PO. Wśród naturalnie wykreowanych liderów ruchów protestu (Czarne Marsze i Strajk Kobiet, łańcuchy światła dla wsparcia wymiaru sprawiedliwości; także „pierwszy KOD” czy Obywatele RP), „mędrców” uczestniczących w debacie publicznej, a także aktywistów miejskich wiele jest postaci o poglądach – zdefiniowanych powyżej – nowoczesnie lewicowych. Twarzami nowej Polski są na przykład rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, aktorka Maja Ostaszewska, czy Franciszek Sterczewski organizujący w Poznaniu tłumne demonstracje w obronie niezależności sądów.

Aby liczyć się na rynku idei, nowa oferta musiałaby zasadzać się na kilku podstawowych lejtymotywach:

lacje z ministrami, delegowanymi przez AWS, były chłodniejsze także dlatego, że niektórzy z nich, np. minister koordynator służb specjalnych, Janusz Pałubicki, wyraźnie lekceważyli głowę państwa.

A co było powodem wyraźnego zaostrzenia relacji z późniejszymi rządami lewicy?

To nie o relacje z rządami lewicy chodziło, bo z wieloma ministrami prezydent był w bardzo bliskich, wręcz przyjacielskich kontaktach. Coraz ostrzejszy konflikt dzielił go z premierem Leszkiem Millerem. O tej „szorstkiej przyjaźni” nie decydowała osobista rywalizacja, jak to się najczęściej zwykło interpretować.

O wiele istotniejszą rolę odegrały obawy nurtujące prezydenta w związku ze zjawiskami degenerującymi SLD. Świetnie znał to środowisko i jako pierwszy dostrzegł postępujący od 1999 r., czyli od utworzenia partii o nazwie SLD, proces oligarchizacji tej formacji. Trafnie też przewidział jego konsekwencje, groźne dla rządzącej lewicy ale i całego państwa. Starał się hamować to zjawisko, stąd coraz więcej napięć obserwowaliśmy między nim a forsującym swój kurs Millerem.

Życie przyznało tu rację Kwaśniewskiemu. To właśnie negatywne konsekwencje oligarchizacji SLD, w tym mnożące się od 2002 r. afery, doprowadziły do katastrofy tej formacji w wyborach prezydenckich i parlamentarnych w 2005 r.

„Strażnik” – elekt, Lech Kaczyński, w pierwszym wystąpieniu meldował bratu-bliźniakowi o wykonaniu zadania. Zaraz potem, podczas urzędowania swojej Kancelarii Prezydenckiej, przestrzegał: „Nikogo mi nie wsadźcie, nikogo mi nie utracie”. Ludwik Dorn („trzeci bliźniak”) oceniał stosunek prezydenta do partii politycznych: „...Najbardziej nie lubił PiS. Po prostu go nie cierpiał, nie znosił, nie ufał i gardził swoją partią...”

W tych zachowaniach nie ma sprzeczności. Prezydent Kaczyński rzeczywiście nie cenił partii politycznych, w tym także PiS-u. Ale tak naprawdę działał w interesie tej formacji i nigdy jako głowa państwa przeciwko jej polityce nie wystąpił. Tyle, że robił to dla brata, a nie jego partii. W sumie na to samo wychodziło, bo Jarosław i PiS to już w tym czasie była nierozdzielna całość.

1. Wiarygodnej gwarancji, że państwo opiekuńcze zostanie utrzymane. Oczywiście mowa tu o podejściu odpowiedzialnym, nieprowadzącym Polski w stronę powtórzenia scenariusza greckiego.

Jeśli chodzi o program „500 plus”, to trzeba sprawdzić, jaki jest jego wpływ na tendencje demograficzne. Wedle zapowiedzi PiS miało to bowiem być działanie nie socjalne, lecz pro-prokreacyjne. Jeśli w jego wyniku rzeczywiście zwiększa się przyrost naturalny (co da się ustalić, korzystając z wiedzy i aparatu naukowego ekspertów), należy je kontynuować. Jeśli nie – warto je przekształcić w instrument polityki społecznej, wspierający dzieci z biedniejszych rodzin.

Wróćmy do dyskusji na temat podnoszenia wieku emerytalnego nie ma już sensu. Odpowiedzialny rząd powinien umożliwić ludziom w peł-

ni świadome podejmowanie decyzji w wieku 60/65 lat. Chodzi nie tylko o kampanię uświadamiającą, lecz głównie o zachęty podatkowe dla zatrudnionych, którzy przekroczyli już ustawowy wiek; zwiększanie motywacji pracodawców do kontynuowania zatrudnienia, np. poprzez obniżenie kosztów pracy takich zatrudnionych; wzmocnienie Państwowej Inspekcji Pracy.

2. Równie ważne jest zobowiązanie do przywrócenia stanu instytucji demokratycznych sprzed zamachu na nie przez Prawo i Sprawiedliwość, oraz poprawy funkcjonowania państwa polskiego. „Neosocjaldemokraci” są jedyną grupą kategorycznie odrzucającą autorytaryzm. Po rządach PiS będziemy wiedzieli, jakie dodatkowe bezpieczniki trzeba wprowadzić do Konstytucji z 1997 roku – która musi pozostać opoką Rzeczypospolitej. Żadne zapisy nie po-

Lech był napędzany siłą bliźniaczego przywiązania do Jarosława. Co się stało, że ten „osierocony” po katastrofie smoleńskiej, odszedł tak daleko od nieżyjącego brata, czego znaczną część podzielonego społeczeństwa („gorszy sort” i „zdradzieckie mordy”) jest teraz ofiarą?

Wiele jest tego powodów. Za najważniejszy uważam ewolucję ideową Jarosława Kaczyńskiego, który swoimi poglądami przesuwają się od 2005 r. na prawo i dziś już bez żadnych zahamowań wchodzi w sojusze ze środowiskami nacjonalistycznymi. Co więcej, chcąc je „okiełznać”, przejmując część ich haseł.

Mści się tutaj brak Lecha Kaczyńskiego, który w latach 2005–2010 wyraźnie mitygował takie zapędy brata. Dość przypomnieć diametralnie inny stosunek Jarosława i Lecha do politycznej aktywności ks. Tadeusza Rydzyka. Było znamienne, że prezydent mocno ujął się za żoną obrażaną przez Rydzyka. Szwagier ani słowem nie stanął w jej obronie.

„Strażnik” Bronisław Komorowski – pisze Pan – „miał wizję prezydentury dbającej o wspólnotowość... Nie chciał wyniszczającego podziału ...” Na Placu Świętego Piotra, podczas mszy kanonizacyjnej JP II, „modlił się o szansę na odbudowanie wspólnoty, albo przynajmniej o powstrzymanie procesu destrukcji...” Czym on zawinił, a czym społeczeństwo, że „Niebo” go nie wysłuchało?

Opatrzności bym do polityki nie mieszał. Jestem za konsekwentnym rozdzieleniem sacrum i profanum. Dlatego wolę oceniać nie modlitwy a działania polityków. Przytoczyłem cytowaną wypowiedź Komorowskiego, by pokazać, jak ważne były dla niego działania na rzecz wspólnotowości. Miał ostro pod górę, bo jednocześnie Kaczyński, jak tylko mógł, rozłupywał społeczeństwo na dwa śmiertelnie zantagonizowane polityczne plemiona. Sądzę, że większość Polaków ceniła sobie to dążenie Komorowskiego do akcentowania tego, co wspólne. Ludzie wolą dodawać niż odejmować, mnożyć niż dzielić.

To nie wspólnotowa strategia przesądziła o wyborczej porażce Komorowskiego w 2015 r. Winna tego była fatalna kampania prezydencka. Zemściło się na Komorowskim, że tę kampanię

Robert SMOLEŃ

wstrzymają dyktatorów przez łamaniem prawa, jeśli tylko będą mieli wystarczającą siłę (parasolem ochronnym dla demokracji jesteśmy my sami, obywatele); ale teraz lepiej widzimy, jak im w tym przeszkodzić.

Musi zostać zliberalizowane prawo antyaborcyjne – w duchu zaufania do trafności wyborów obywateli w dramatycznie trudnych sytuacjach życiowych. Rolą państwa nie jest przenikanie do sumień, tym bardziej – przymuszanie do przyjęcia jednej postawy światopoglądowej. Katalog praw i wolności podlegających ochronie powinien zostać rozszerzony o nową generację swobód, np. cyfrowych.

3. Na nowo trzeba także zdefiniować miejsce Kościołów i związków wyznaniowych (a właściwie jednego: rzymskokatolickiego). Nie obejdzie się tu bez dookreślenia, renego-

tacji lub – w ostateczności – wypowiedzenia konkordatu. Nie chodzi jednak o wszczęcie wojny religijnej, lecz o nadanie realnego sensu konstytucyjnej zasadzie poszanowania autonomii oraz wzajemnej niezależności państwa i Kościołów.

4. Projekt lewicowy siłą rzeczy musi być proeuropejski. Prawica zepchnęła Polskę na margines UE, co – w kontekście prawdopodobnego zacieśnienia powiązań w strefie euro – grozi zmarnowaniem wielkiej cywilizacyjnej szansy. Także PO była w sprawach europejskich kunktatorska. Tymczasem miejsce Polski jest w postkarolińskiej Europie, a nie na Wschodzie eksperymentującym z autokracją. Odpowiada nam i zachodnia organizacja życia społecznego, wytworzona po roku 1952/58, i perspektywa szybkiego rozwoju, i obecność w naturalnym dla

całkowicie powierzył Platformie Obywatelskiej, co zresztą było sprzeczne z wcześniejszym stawianiem na wspólnotowość.

Obecny, „niezlomny strażnik” parokrotnie „łamał konstytucję i reguły państwa prawnego” – stwierdzają to największe autorytety prawnicze w kraju. Czy prezydent Andrzej Duda nie chce, czy nie potrafi powstrzymać procesu izolowania Polski od sąsiadów i cywilizowanego świata?

I nie chce, i nie potrafi. Nie chce, bo poglądami najbliżej mu do PiS-owskich jastrzębi. Ale nawet gdyby było inaczej, to by nie potrafił, bo jest całkowicie, także psychicznie, uzależniony od Jarosława Kaczyńskiego.

Ale przecież pisze Pan, że „prezydent Duda ma już dosyć roli marionetki Kaczyńskiego”...

Tu dochodzimy do kwestii, od której zaczęliśmy naszą rozmowę, czyli do sprawy dystansu jako niezbędnego warunku pracy badacza. Zdanie, które Pan zacytował napisałem w lipcu 2017 r., tuż przed złożeniem tekstu w wydawnictwie.

Przypomnijmy: prezydent Duda zawetował właśnie tzw. ustawy sądowe i wydawało się, że zaczyna się emancypować spod wpływu Jarosława Kaczyńskiego. Była nadzieja, że w swym urzędowaniu kierował się będzie przepisami Konstytucji RP a nie dyrektywami płynącymi z Nowogrodzkiej. Mówiąc językiem *Ucha prezesa* – że nie chce już być Adrianem, tylko Andrzejem.

Tyle tylko, że nadzieja nie trwała długo. Prezydent nie tylko zaakceptował zamach na trójpodział władzy i niezawisłość sądownictwa. Wziął w tym zamachu czynny udział. Adrian wrócił na swoje krzesło w przedpokoju prezesa.

Jak powinna rosnąć w siłę ta część społeczeństwa (i jej kierownicy), która mogłaby pomóc obecnemu „strażnikowi” stać się prawdziwie niezlomnym nie tylko w szusowaniu na stocach i błędzeniu we mgłach „Trójmorza”?

Na niezlomność prezydenta Dudy nie ma już żadnej szansy. Przynajmniej ja nie mam już w tym względzie najmniejszej nadziei.

Robert SMOLEŃ

nas kręgu kulturowym. **To środowiska lewicowe miałyby pełną legitymację i determinację, aby przywrócić mocną pozycję Polski w Unii Europejskiej.**

Jedną z przeszkód jest tu – obok braku szans na szybkie przyjęcie euro – mit o zagrożeniu ze strony uchodźców. Rzetelne analizy ekspertów wskazują, że nie grozi nam masowy napływ imigrantów ekonomicznych: ani Polska nie jest dla nich atrakcyjnym celem, ani nasz rynek pracy nie potrzebuje pracowników o posiadanych przez nich kwalifikacjach. Przyjmując uchodźców *sensu stricto*, możemy zachować się odpowiedzialnie i przyzwoicie, zgodnie z wartościami, do których chcemy się przynajmniej. A państwo polskie musi mieć wystarczająco sprawne służby imigracyjne i wywiadowcze, by zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom.

* * *

Droga do odzyskania Rzeczypospolitej nie będzie łatwa. Osiągnięcie tego celu w roku 2019 wydaje się dziś wątpliwe. Kluczowe mogą okazać się wybory prezydenckie (2020), jeśli w ich wyniku udałoby się odebrać część władzy Prawu i Sprawiedliwości. Gdyby zaś Jarosław Kaczyński zrealizował plan „co najmniej trzech kadencji”, to demokratyczna, otwarta i tolerancyjna Polska zostałaby odłożona na znacznie dłużej. **Tak czy inaczej, większe jest prawdopodobieństwo pokonania obozu narodowo-katolickiego populizmu przez wiarygodną centrolewicę, niż przez kogokolwiek innego. Czas na podjęcie rękawicy jest właśnie teraz; nie ma co zasypiać gruszek w popiele.**

Wiele różniło strażników Rzeczypospolitej, a co by Pan wyróżnił jako ich pewną wartość wspólną? Czy coś ich łączyło?

Odpowiedź zawarta jest już w tytule mojej książki. Wszyscy prezydenci, od 1990 r. do 2015, czyli Wojciech Jaruzelski, Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński i Bronisław Komorowski byli strażnikami Rzeczypospolitej. Interes państwa i polską rację stanu stawiali ponad polityczne interesy obozu, z którego się wywodzili. Nieprzypadkowo o Jaruzelskim mówię tak dopiero od 1990 r., bo w 1989 r. jeszcze nie przeciął pepowiny łączącej go ze starym układem komunistycznym. Dlatego też opis prezydentury Andrzeja Dudy uczyniłem epilogiem a nie ostatnim rozdziałem książki. Dla Andrzeja Dudy ważniejsze od interesów państwa są interesy PiS-u i dlatego na miano strażnika Rzeczypospolitej nie zasługuje.

Dziękuję za rozmowę, Wiesław ŁUKA

Tomasz NAŁĘCZ jest profesorem historii najnowszej, był długoletnim wykładowcą na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie wykłada w jednej niepublicznych uczelni wyższych; jest autorem wielu książek, studiów i esejów; w latach 2001–2005 był posłem na Sejm III RP i jego wicemarszałkiem, w latach 2010–2015 należał do grona doradców prezydenta Bronisława Komorowskiego.

POSTSCRIPTUM

Poniżej drukujemy fragmenty felietonu Tomasza Nałęcza *Rydwan Kaczyńskiego* zamieszczonego w „aleHistoria”, cotygodniowego dodatku do „Gazety Wyborczej” (z 9 kwietnia 2018 r.), którego treść jest, jak sądzimy, istotnym postscriptum do tekstu rozmowy Autora, którą drukujemy powyżej i za którą serdecznie dziękujemy.

Redakcja

„*Rydwan Kaczyńskiego*”

Przeforsowana przez PiS ustawa degradacyjna pozwala politykom na osądzanie i karanie zmarłych. To coś niebywałego w europejskiej cywilizacji, której łacińskie i chrześcijańskie fundamenty zbudowano na zasadzie, że sądzić i karać można tylko żywych. Zmarli, także ci o bardzo zabagnionej hipotece, podlegają osądowi historii. Dla osób wierzących stają przed boskim sądem, którego wyręczać wręcz się nie godzi. Tak więc osądzanie i degradowanie nieboszczyków jawi się jako zwykle barbarzyństwo. To zaś nigdy nie popłaca. Do dziś zemsta Achillea nad trupem Hektora wleczonym za rydwanem uchodzi za największą skazę na honorze tego herosa.

POLACY BARBARZYŃCAMI NIE SĄ. NIGDY ZMARŁYCH NIE SĄDZILI I NIE KARALI. Nawet najczarniejszym charakterom nie odbierano po śmierci tytułarnych godności, stopni wojskowych czy tytułów rodowych. Także dlatego, że bez ich przywołania historia staje się karykaturą. Tak jak w PiS-owskim wydaniu, w którym stan wojenny wprowadzać będą szejregowi Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki.

PiS sięgnął do barbarzyńskiego arsenału z różnych przyczyn. Nagłe uchwalenie długo trzymanej w legislacyjnej zamrażarce ustawy degradacyjnej podyktowała m.in. chęć przykrycia ostatnich wpadek obozu rządzącego. Takich jak krociowe premie czy kryzys lekko-myślnie zafundowany w stosunkach amerykańsko-polskich.

Skoncentrujemy się jednak na objaśnieniu historycznym. W jego świetle wyczyn PiS-u to nic innego jak kolejna próba zawłaszczenia historii przez tych, których w czasie autentycznego przełomu zabrakło w pierwszym szeregu, i teraz, bardzo spóźnieni, usiłują nadrobić tę stratę. W przeszłości takich przypadków było bez liku.

Bodajże najgłośniejszy wiąże się z postacią, którą prezes Kaczyński obdarza szczególną uwagą, czyli ze Stalinem. Rozprawiając się ze swoimi rzeczywistymi i wymagowanymi przeciwnikami, szczególnie brutalnie uderzał on w tych, którzy przerastali go zasługami w służbie rewolucji. Cokół historycznej zasługi miał należeć tylko do niego. Wszyscy inni musieli być z niego strąceni.

Podobny zamiar przyświeca Kaczyńskiemu. Oczywiście Stalinem nie jest, bo i dzisiaj

sza Polska to nie Związek Sowiecki z lat 30. Jednak historię traktuje podobnie. Też walczy o zawłaszczenie cokołu narodowej zasługi. Przede wszystkim dla brata, któremu zawsze ustępował miejsca, jeśli chodzi o godności i za szczyty. Ale też dla siebie, bo bliźniacy zawsze byli nierozłączni.

To dlatego przywódcy „Solidarności” i pogromcy komunizmu Lechowi Wałęsie dorabiana jest gęba zdrajcy. A do innego bohatera „Solidarności”, Władysława Frasyniuka, o świcie przychodzi policja, by w kajdankach doprowadzić go do prokuratury. Stąd też absurdalna, ale popularna w PiS-ie teza, że komunizm w Polsce obalony został dopiero w 2015 r., wraz z objęciem rządów przez prezesa.

NAJBARDZIEJ ZASŁUŻONYMI MAJĄ BYĆ BRACIA KACZYŃSCY. Lechowi nie brakowało autentycznych zasług, choć daleko mu do takich postaci jak Wałęsa, Kuroń, Frasyniuk, Bujak, Mazowiecki, Geremek czy Michnik. Gorzej z Jarosławem, który w szeregach opozycji i w czasie polskiego Sierpnia '80 właściwie się nie liczył. W pierwszej linii znalazł się dopiero w końcu lat 80., i to tylko dzięki protekcji Wałęsy. Musi więc nadrobić ten mankament. I właśnie to czyni, odnosząc swoje zwycięstwo nad

Jaruzelskim. A że dzieje się to 29 lat po upadku komunizmu i cztery lata po śmierci generała, to rzecz mniej ważna. W historii pisanej przez PiS i tak będzie to przepustką do wielkości.

JANCZARZY PREZESA MUSZĄ JESZCZE TYLKO UCHWALIĆ USTAWĘ, która za kłamstwo historyczne i szkalowanie narodu uzna przypominanie rzeczywistego postępowania Jarosława Kaczyńskiego z przełomu lat 80. i 90. Wtedy to bowiem jako bliski współpracownik Wałęsy wspierał rozmowy z komunistami i kontrakt Okrągłego Stołu. Godził się na wybranie gen. Jaruzelskiego na prezydenta. Dokładał starań, by być kolegą generałów Kiszczaka i Siwickiego w rządzie Mazowieckiego. Dopiero kiedy premier nie mianował go ministrem, obraził się śmiertelnie i zemści wywołaniem bratobójczej „wojny na górze”. Zdruzgotała ona „Solidarność” i umożliwiła powrót do władzy siłom wywodzącym się z PRL.

Takie są fakty. I to one przetrwają, a nie fałsz, na jakim PiS buduje bohaterski mit swego prezesa. Wlekąc za swym rydwanem nieboszczyka, nie upodobni się on do Achillesa. Za tamtym przemawiały jego heroiczne czyny, a takimi Kaczyński nie może się pochwalić. Nawet Książę ukradł komunistom tylko w filmie.”

Danuta
WANIEK

O państwie laickim

Dokończenie ze s. 2

osobistościom zależało na stworzeniu prawnej podstawy do współpracy ponad podziałami, do poszanowania odmienności światopoglądów, do porozumienia i kompromisu.

Laickość państwa nie jest żadną ustrojową nowinką, w Europie jest znana od czasu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, a konkretnie od 1795 r., kiedy to Konwent Narodowy przyjął ustawę o wolności religijnej we Francji, co w skutkach oznaczało przyjęcie rozdziału Kościoła od państwa. Zburzenie Bastylii w 1789 r. uważany jest przez historyków za moment, w którym różnowiercy i ateści mogli wyjść z ukrycia, a całe kolejne stulecie był to czas, w którym Francuzi (ale nie tylko oni) prowadzili konsekwentny proces sekularyzacji służb publicznych, a w tym m.in. likwidowano wpływ kleru na szkolnictwo publiczne.

Ustawa wprowadzająca rygorystyczny rozdział Kościoła od państwa została we Francji uchwalona w sto lat po rewolucji, 9 XII 1905 r. Zasada ta, z pewnymi zmianami, obowiązuje od 112 lat. Nic dziwnego, że tam w 1906 r. powstała Polska Liga Wolnej Myśli, która z czasem przeniosła się w granice II RP.

Obowiązująca konstytucja V Republiki z 1958 r. postanawia, że „Francja jest Republiką niepodzielną, laicką, demokratyczną i socjalną. Zapewnia ona równość wszystkich obywateli wobec prawa, bez względu na pochodzenie, rasę, lub religię. Respektuje wszelkie przekonania.” Tę definicję konstytucyjną podzielał ówczesny prezydent, gen. Ch. de Gaulle.

Co ciekawe, po drugiej stronie sceny politycznej rozumiano to podobnie. W 1976 r. G. Marchais, sekretarz Francuskiej Partii Komunistycznej, tak oto wyjaśniał przepis konstytucyjny na łamach „L'Humanite”: „Chcemy, aby we Francji socjalistycznej respektowane były prawa i swobody wszystkich obywateli, wierzących i niewierzących. Chcemy państwa, które nie będzie własnością

żadnej partii, żadnej grupy ludzi, państwa ani ateistycznego, ani chrześcijańskiego, ale po prostu świeckiego. To znaczy państwa, które zapewni materialne i polityczne warunki swobodnego rozwoju i swobody wypowiedzania się wszystkim kierunkom myślowym. W tym zawiera się prawo do wolności sumienia i religii.”

Przytaczam przepisy, należące do francuskiej tradycji państwowej nie bez powodu, ponieważ siły i trwałości jej oddziaływania bardzo Francuzom zazdroszczę. Nie ulega wątpliwości, że Polska jest dziś tym wyjątkowym krajem w Europie, w którym kolejne rządy posługują się religią jako środkiem uprawomocnienia swej władzy. Nie wystarcza im, niestety, mandat demokratyczny, ważne jest poparcie biskupów!

W dyskusjach na ten temat przywoływane są nieustannie zasługi Kościoła dla utrzymania tożsamości narodowej Polaków. Kto zna historię, ten wie, że różnie z tym było. Opisałam to w książce *Orzeł i krucyfik* i uważam, że bilans się co najwyżej równoważy: tyle dobrego, ile złego.

Podnoszenie dziś kwestii laicyzacji życia państwowego stało się w Polsce kwestią niemalże kluczową, a to z uwagi na ostre podziały wewnętrzne, które energię społeczną angażują w konflikty wywołane na tle religijnym, zamiast włączać ją w procesy modernizacyjne, ułatwiające nam wszystkim rozwój i współpracę. Polska to dziś dwa wrogie narody, karmiące się konfliktami, które w większości państw europejskich już dawno zostały przewyżczone. Rozejrzyjmy się wokół nas: wystarczy, że na scenie teatralnej we Wrocławiu, lub w Warszawie pojawi się sztuka zakwalifikowana jako „obrażająca uczucia religijne”, aby minister PiS wołał na pomoc kółka różańcowe lub prokuraturę. Byliśmy świadkami nakładania przez sądy sankcji karnych za „obrażanie uczuć religijnych”; natomiast za dyskryminację ludzi niewierzących i ich odczuć sankcji karnych nikt jeszcze nie doświadczył, chociaż powody były, a możliwości daje art. 194 kodeksu karnego: „Kto ogranicza człowieka w przysługujących mu prawach ze względu na jego przynależność wyznaniową albo bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

Niestety, nie można w tym kontekście pominąć smutnego faktu, że przez lata Trybunał Konstytucyjny, poprzez orzeczenia, dotyczące spraw światopoglądowych umacniał interesy ideologiczne Kościoła, a – według Konstytucji – wyroki TK są ostateczne. Nie bez powodu przecież w 2015 r. urzędujący prezes TK, A. Rzepliński, przyjął papieski order „Za zasługi dla Kościoła i Papieża”.

Spróbujmy wskazać choćby jedną organizację, której celem działania jest laicyzacja, a która by korzystała z dotacji państwowych tak jak liczne stowarzyszenia konfesyjne. Przecież można zaobserwować dużą aktywność zwolenników świeckiego, demokratycznego państwa prawa. Szereg rozproszonych dotychczas organizacji zaczyna współpracować. Jednym z takich przedsięwzięć był odbywający się w dniach 21 i 22 X 2017 r. Kongres Świeckości, organizowany przez stowarzyszenie o tej samej nazwie. Od dawna nie ustaje aktywność Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, wydającego dwumiesięcznik „Res Humana” czy krakowskie Forum Wolnej Myśli. Utworzono warszawskie stowarzyszenie Polska Laicka. Z pożytkiem dla odbiorców działa portal „Racjonalista” im. T. Woltera, Stowarzyszenie Wolnomyślicieli im. Kazimierza Łyszczynskiego. Sądzę, że nie zaniechało swojej działalności Stowarzyszenie na Rzecz Państwa Neutralnego Światopoglądowo.

Mam nadzieję, że środowiska laickie na miarę dzisiejszych wyzwań ożywią ścieżkę polskich tradycji oświeceniowych, wiodącą ku postępowi i nowoczesności, nie zapominając również o tym, że byli kiedyś w Polsce tacy księża, którzy starali się Polskę modernizować poprzez edukację, kulturę, doskonalenie struktur państwowych, rozwój nauk ścisłych. Jesteśmy im do dziś za to wdzięczni, więc warto przypomnieć ich nazwiska: Konarski (twórca Collegium Nobilium), Naruszewicz, Krasicki, Kołłątaj, Staszic. Wymieniam tylko tych najbardziej znanych, ale – co ciekawe – nie zauważyłam, by do ich nazwisk i dorobku odwoływali się współcześni biskupi w Polsce.

Autorka tekstu jest historykiem, wykładowcą w jednej z niepublicznych uczelni wyższych; od lat aktywnie obecna w życiu politycznym, państwowym i społecznym.

Tekst powyższy przedrukowujemy z jednodniówki ŚWIECKIE PAŃSTWO, wydanej z okazji rocznicy podpisania i ratyfikacji konkordatu przez Polskę (bd. wyd.)

WSPÓŁCZESNY ŚWIAT



Andrzej BIERNACKI Stanisława BIELENIA lekcje roztropnego myślenia

Dwadzieścia sześć esejów, wcześniej drukowanych w specjalistycznych czasopismach, a teraz starannie uszeregowanych i dopełnionych, ukształtowało tę najnowszą książkę

powierzoną czytelnikom przez jej Autora. Pobieżny rzut oka na jej układ i treść oraz formę przekazu przekonuje o trafności tego co było wcześniej, bo teraz, w postaci książkowej, nabiera ono nowych wartości i barw.

Stają się widoczne od pierwszych stron książki ukazując po kolei problemy obejmujące najogólniejsze paradygmaty, pojęcia i problematykę stosunków międzynarodowych czy odpowiadając na pytanie: czym ta problematyka w ogóle jest, w jakim zakresie pozostaje w związkach z problematyką wewnętrzną państw, w przeszłości i współcześnie. Przy okazji uznaje za bezsensowną w istocie głośną Clausewitzowską tezę o wojnie jako „przedłużeniu polityki za pomocą innych środków”. Śledzimy kolejno kwestie „Geopolityki nadrzędności i podporządkowania”, amerykańskiej hegemonii i jej zachwianie; konieczność przewartościowania NATO; czytamy „O wojnach naszych czasów”, polityce równoważenia sił, buforowości i sferach wpływów czy o „państwach upadłych”.

Wymienione tu kwestie, każda na swój sposób wielce istotna, są znakomitym wprowadzeniem do ważnych uogólnień: do zdefiniowania tego czym jest świat XXI wieku. Już z pierwszych kart książki wiek ten wyłania się jako „wiek rozbieżności” w warunkach „geopolityki nadrzędności i podporządkowania”. W tej sytuacji, czytamy książkę, powracają stare schematy trójdzielności: na jednym jej biegunie to świat stabilny i ludzi bogatych, na drugim świat biedy i niestabilności i to jest „trzeci świat”. Ale pomiędzy nimi sytuuje się „świat drugi”, „który podziela wiele charakterystyk typowych dla obu powyższych. Są w nim państwa, które będą decydować o równowadze międzynarodowej w XXI wieku pomiędzy trzema głównymi ośrodkami potęgi – Stanami Zjednoczonymi, Unią Europejską i Chinami. Należy do nich między innymi: Rosja, państwa latynoskie, państwa ASEAN, Iran, Turcja, państwa arabskie... Wiążąc ten podział geopolityczny z efektami globalizacji jako zjawiskami korzystnymi w sensie cywi-

lizacyjnym, można przyjąć, że świat pierwszy to świat zglobalizowany, świat drugi – częściowo zglobalizowany i świat trzeci – nieobjęty jeszcze globalizacją” (s. 11–12).

Z kolei wielu wpływowych badaczy amerykańskich upowszechnia pogląd o nadciągającym powrocie do epoki podziałów ideologicznych, epoki konfliktu między demokracjami a autokracjami. Wskazuje się, że np. Rosja, opowiadając się za kombinacją autorytaryzmu i modernizacji, rzuca w oczywisty sposób wyzwanie liberalnej demokracji. Sądząc po tym, co obecnie dzieje się w Polsce, taka prognoza nie może nie budzić niepokoju. Pozostawmy jeszcze chwilę przy tych wielkich prognozach na temat świata XXI wieku. Otóż zapowiada się „powrót do wielobiegowości”, do zmiany w geopolitycznym układzie sił, prognozuje słabnięcie hegemonii Stanów Zjednoczonych przy rosnącej roli Chin. Indii i Rosji. „O ile Stany Zjednoczone lansują – czytamy – uniwersalną demokrację, także przy użyciu siły, o tyle Rosja uważa, że każde państwo ma prawo do własnego modelu rządów” (s. 17). Wolno sądzić, że to zróżnicowane rozumienie suwerenności może być jedną z głównych osi sporu w XXI wieku.

Lecz pocieszymy się zarazem, że ten fundamentalny skądinąd spór nie przekształci się w jakikolwiek większy konflikt zbrojny, ponieważ nie została unieważniona rola i równowaga zasobów broni nuklearnych dwóch w tej dziedzinie potęg światowych, tj. Stanów Zjednoczonych i Rosji. W wojskowych arsenalach tych dwu państw skupionych jest obecnie 98 proc. ich ogólnych zasobów. Odstraszająca siła tych broni, definiowana w czasie zimniej wojny pojęciem „równowagi strachu” nie zniknęła, niestety, wraz z zakończeniem tej wojny.

I w tym miejscu dochodzimy do tych części książki, które podejmują problematykę sytuacji postimperialnej Rosji, wielkich problemów, które dźwiga ten kraj poszukując dla siebie miejsca we współczesnym świecie. Czytamy teksty Stanisława Bielonia, zapewne jednego z najbardziej znanych znawców problematyki rosyjskiej, o poczuciu osaczenia i presji, którego ze strony Zachodu doświadcza dziś Rosja, często, niestety, nie bez własnej winy; czytamy o konflikcie na Ukrainie i rzekomej wyłącznie winie Rosji za to się tam stało i wciąż niedobrego tam dzieje; o Krymie, kiedyś lekkomyślnie podarowanym radzieckiej Ukrainie, a dziś przyłączonym, zgodnie z wolą przytłaczającej większości jego mieszkańców, z powrotem do Rosji.

„Rosjanie są w trakcie przewartościowań swojego zaangażowania w sprawy międzynarodowe – czytamy Stanisława Bielonia. Rosja potrzebuje samoograniczenia. Paradoksem jest to, że współczesna Rosja wybiera rolę mocarstwa regionalnego, deklaruje aktywność kontynentalną, a realizuje ciągle zadania stawiające ją w rzędzie mocarstw o ambicjach globalnych” (s. 188). Bo chodzi tu Rosji, objaśnia autor, o przywrócenie równowagi w oddziaływaniach międzynarodowych, opartych na wielowektorowości, a z drugiej o niezależność od dwóch największych potęg, tj. Stanów Zjednoczonych i Chin. Lecz Zachód, w opinii Rosjan, „nie chce tolerować silnej Rosji na arenie międzynarodowej” (s. 202). Pozostałości „zimniej wojny” wciąż trwają, zwłaszcza w głowach wielu wpływowych sił w Ameryce. Histeria rozpętana dziś wokół roli Rosji w wyborze Trumpa jest tej groźnej psychozy świadectwem dobitnym.

Autor książki podejmuje problematykę rosyjską, jak i wiele innych ważnych kwestii, choćby dotyczących koncepcji i roli państw narodowych wobec procesów integracji czy globalizacji współczesnego świata, z roztropnym dystansem, uwolnionym od wszelkiego zacietrzewienia, którego tak wiele dziś doświadczamy choćby w Polsce „dobrej zmiany”.

Zamyka ten mądry wybór tekst zatytułowany *Pax melior est*, tekst o poszukiwaniu pokoju, który, nawet nie do końca zadowalający, jest stokroć lepszy od wojny (s. 363–381). Rozważania o drogach negocjacji, potrzebie mądrości i lekcjach z nich płynących zamykają słowa: „Polskie elity polityczne i intelektualne nie nauczyły się wyciągać wniosków z tragicznej historii narodowej i nieszczęsnej geografii politycznej. Nawet postronny obserwator zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że państwo średniej rangi, jakim jest Polska, położone na skrzyżowaniu szlaków

komunikacyjnych w Europie może więcej skorzystać na pośredniczeniu, łączeniu, katalizowaniu czy moderowaniu niż na skłócaniu i konfrontacji” (s. 381).

To zapewne gorzka konkluzja, lecz zarazem odważna i odświeżająca nasze myślenie o świecie, w którym dziś dane jest nam żyć.

Stanisław BIELEŃ, *Czas próby w stosunkach międzynarodowych, Miscellanea*, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2017, s. 387 + 1 nlb.

— POSTSCRIPTUM —

Korzystamy z sposobności, aby głos z naszych łamów mógł zabrać profesor Stanisław BIELEŃ, Autor recenzowanej powyżej książki, poprzez przedruk fragmentu Jego artykułu o niedawnych wyborach prezydenta Federacji Rosyjskiej, zamieszczonego po tytule Rekoronacja «cara» w tygodniku „Przeгляд” (nr 13 z 26.03–2.04.2018), chyba jedynego poważnego głosu na ten temat w Polsce.

Redakcja „RES HUMANA”



Stanisław BIELEŃ

„Rekoronacja «cara»

Tyłu negatywnych emocji nie wzbudzają wybory prezydenckie w żadnym kraju – dzieje się tak nie tylko z uwagi na rangę Rosji w stosunkach międzynarodowych, ale może przede wszystkim ze względu na rolę jednego człowieka, Władimira Putina, który sprawuje niepodzielną władzę i zdobywa mandat na czwartą, a w praktyce na piątą kadencję (licząc współzrądy z Dmitrijem Miedwiediewem w latach 2008–2012 ze stanowiska premiera). Świat głowi się nad źródłem tych sukcesów, przyczyniając się paradoksalnie do wzrostu popularności Putina i wysokiego poparcia społecznego. Mała skuteczność oddziaływania na Rosjan i bezsilność świata zewnętrznego rodzi frustrację i nakręca kolejne fale rusofobii. Demonizacja rosyjskiego prezydenta i przypisywanie mu wszelkich przewinień prowadzi do wypaczeń w postrzeganiu Rosji, którą próbuje się wykluczyć ze zbiorowości „cywilizowanych państw”.

Wybory prezydenta, nawet jeśli mają charakter plebiscytu, nie są niczym nadzwyczajnym, jak usiłują to przedstawiać krytycy Rosji. Na tle Chin, gdzie doszło ostatnio do „reelekcji cesarza” z jednoczesnym zniesieniem kadencyjności na najwyższym stanowisku państwowym, Rosjanie wydają się całkiem racjonalni w legitymizacji swojego przywództwa politycznego. Legitymizacja ta zasada się na silnie uświęconej tradycji i osobistych zasługach władcy. O takich sposobach uzasadniania władzy pisał kiedyś Max Weber, a we współczesnym świecie większość państw praktykuje rozmaite wzory ustrojów niedemokratycznych i „długowieczność” rządzących nie jest rzadkością.

Przywództwo polityczne Putina ma charakter rzeczywisty. Między prezydentem Rosji a jego zwolennikami istnieje silna relacja, wynikająca z racjonalności, a nie wyłącznie ze strachu czy podporządkowania. Putin cieszy się poparciem społecznym, gdyż w obliczu coraz ostrzejszej gry międzynarodowej potrafił zademonstrować samodzielność i determinację w obronie swoich racji i definiowanych przez siebie interesów narodowych. A to, że popełnił przy tym sporo błędów i zamknął Rosję w „oblężonej twierdzy”, nie jest dla Rosjan najważniejsze. Świadczy o tym wysoka frekwencja wyborcza i poparcie dla zwycięzcy. Obserwatorzy zewnętrzni odnotowali nie tylko przejrzystość procedur wyborczych, ale i dużą identyfikację społeczeństwa z oficjalną retoryką

polityczną. Czy jest to zasługą skutecznej propagandy, to inna sprawa. Nie można jednak odmawiać Rosjanom zdolności do samodzielnego myślenia. Pomawianie ich o bezmyślne popieranie „praktyk faszystowskich” jest wyrazem aberracji poznawczej.

Tym, co obecnie najważniejsze, jest wyprowadzenie Rosji z impasu w relacjach z Zachodem. Na razie każda ze stron wykorzystuje tę sytuację do szerzenia pomówień, w tym działań szkalujących i wojny psychologicznej. Rosja czuje się coraz bardziej zaszczuta i izolowana. Zadaniem Putina jest odwrócenie tych negatywnych trendów. Oczekują tego od niego obywatele, ale także cały racjonalnie myślący świat. Przed dyplomacją międzynarodową staje problem deeskalacji konfliktu. Ani dotychczasowa zachodnia polityka oskarżania Rosji i przypisywania jej wyłącznej winy za stan wzajemnych relacji, ani rosyjski upór i zamykanie się w owej „oblężonej twierdzy” nie prowadzą do pożądaných rozwiązań.

Postęp w rozwoju stosunków międzynarodowych nie jest linearny, o czym wiedzieli już starożytni. Nie ma żadnego determinizmu ideologicznego, z którego wynikałyby bezalternatywność w wyborze wzorów ustrojowych. Nikt nie ma monopolu na urządzenie państw ani ładu międzynarodowego w całości. Choć wiele państw, w tym Rosja, zgadza się z podstawowymi regułami w stosunkach międzynarodowych, to istnieje sporo rozbieżności w ich interpretacji i wdrażaniu.

Zachód podkreśla rolę wartości demokracji i praw człowieka, podczas gdy Rosja kładzie nacisk na zasadę wspólnego bezpieczeństwa. Zamiast integrować się pod jednym parasolem, Rosjanie uważają, że respekt dla suwerennej równości i nieingerencji w sprawy wewnętrzne jest podstawą stabilności ładu międzynarodowego. Takie stanowisko dzielą mniejsze państwa, które nie chcą się podporządkować jednej wizji ustrojowej i wykładni wartości Zachodu. Należą do nich nawet Węgry Viktora Orbana i Polska Jarosława Kaczyńskiego, które są przecież częścią struktur zachodnich. Ich przykład pokazuje, że wspólnota zachodnia nie jest jednorodna, a nadzieje z początku lat 90. na szybką transformację ustrojową Europy Środkowej i Wschodniej – wyrażone choćby w Paryskiej Karcie Nowej Europy z 1990 r. – okazały się płonne.

Po następnej kadencji prezydenta Putina nikt się nie spodziewa radykalnych zmian w samej Rosji. Jeśli nie dojdzie do nadzwyczajnych wydarzeń, Putin będzie kontynuował konserwatywną i nacjonalistyczną linię polityczną, zabarwioną populizmem i hasłami „suwerennej demokracji”. Utrwalanie obecnego układu sił, pozbawionego realnej opozycji, będzie sprzyjać autorytarnej kulturze politycznej. Jednak w trwającej sześć lat kadencji muszą nastąpić przewartościowania co do dalszych losów władzy prezydenckiej. Przede wszystkim w roku 2024, zgodnie z prawem i zapowiedziami, Putin ustąpi po 24 latach na szczytach władzy. Zrodzi się więc potrzeba wyłonienia następcy. Rywalizujące grupy interesów na Kremlu w najbliższych latach poświęcą się głównie walce o sukcesję. Nieprzewidywalność rozwoju sytuacji każe się liczyć ze scenariuszem konstytucyjnym i pozakonstytucyjnym.

Otoczenie Putina (tzw. kolektywny prezydent) wie, że Rosji potrzeba państwa skuteczniejszego, mniej skorumpowanego i bardziej zmotywowanego do podejmowania eksperymentów modernizacyjnych. Rosyjski paradoks polega jednak na tym, że państwo jest największą przeszkodą w modernizacji, a równocześnie jedynym podmiotem, który taką modernizację może promować i gwarantować. Rosjanie znaleźli się w zawieszeniu między patrymonialnym autorytaryzmem a swobodną konkurencją polityczną. Ten układ nie musi jednak trwać wiecznie. Klasycy demokracji liberalnej – Alexis de Tocqueville i John Stuart Mill – twierdzili, że z czasem zarówno społeczeństwo, jak i klasa polityczna mogą podejmować nowe wyzwania i zmieniać nawyki.

Gdyby wierzyć jedynie antyputinowskiej propagandzie, należałoby przyjąć, że Rosją rządzi banda egoistycznych głupców, której ucieleśnieniem jest Putin. Takie diagnozy postawią wyznawcy doktryny liberalnej, zapatrzeni w osiągnięcia Zachodu i lekceważący uwarunkowania lokalne. Zgodnie z prawem wyboru, będącym podstawą ładu demokratycznego, każdy naród ma prawo do samodzielnego decydowania o swoim losie i porządku ustrojowym. Oczywiście istnieją rozmaite formy ingerowania w sprawy cudze, ale nikt z zewnątrz nie może przeprowadzić modernizacji Rosji bez udziału samych Rosjan. Światu powinno zależeć na tym, aby te przemiany były stopniowe i umiarkowane, a nie gwałtowne i rewolucyjne. Być może na kolejne „przebudzenie” Rosjan trzeba poczekać. Chodzi o to, aby ich nie irytować presją, lecz pomagać

im w znalezieniu drogi rozwoju, która pozwoli wypracować kompromis w życiu publicznym i doprowadzi do otwarcia na reformy ustrojowe. Jeśli ceną demokratyzacji miałyby być kolejne „zdemolowanie imperium”, to nie ma złudzeń – świat długo będzie miał do czynienia z Rosją upartą, groźną i nieprzewidywalną.”

Autor jest profesorem w Instytucie Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Daniel ZBYTEK

Tasmania – wyspa ponurego brytyjskiego więzienia, diabła tasmańskiego i wspaniałej przyrody



Polodowcowa dolina w górach



Wombat się pożywia

Tasmania jest częścią Australii jako odrębny stan z własnym parlamentem i rządem, najmniejszy pod względem obszaru i liczby ludności. Równoleżnik 42 południowy przecina wyspę, co mniej więcej odpowiada położeniu Barcelony na północnej hemisferze naszego globu, ale klimat Tasmanii jest zdecydowanie bardziej surowy niż śródziemnomorski na wybrzeżach katalońskiej stolicy. Średnia temperatury w stolicy Tasmanii, Hobart, w miesiącach zimowych (czerwiec-sierpień) wynosi około 8 stopni C, a letnia (grudzień-luty) ok. 16 stopni Celsjusza. Tasmania jest w większości terenu górzysta – choć nie są to wysokie góry, najwyższe szczyty sięgają 1500 m n.p.m., ale trudno dostępne, gdzie gospodarczo wykorzystywane są głównie lasy. Północna część wyspy ma łagodniejszy klimat, rozległe doliny zagospodarowane są rolniczo na pola uprawne i winnice. Powierzchnia Tasmanii wynosi 68 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli mniej więcej tyle co powierzchnia Republiki Irlandii, ale zamieszkuje ją tylko 520 tysięcy ludzi (Republikę Irlandii 4,8 mln). Dochód narodowy wyspy wynosi 28 mld dolarów, czyli około 44 tysiące na osobę (Irlandia: około 55 tysięcy).

Porównania obu wysp: Irlandii i Tasmanii kończą się w momencie, gdy przejdziemy do geografii, przyrody i historii.

Geograficznie Tasmania, obok południowej wyspy Nowej Zelandii to największe zamieszkałe na stałe terytoria położone najbliżej lodowego kontynentu Antarktydy. Prądy morskie są bardzo zimne, częste są też mroźne, antarktyczne wiatry. Tasmania przez miliony lat stanowiła część kontynentu Australii, toteż szata roślinna i fauna jest podobna: lasy eukaliptusowe, drzewiaste paprocie i drzewiaste mirty, liczne gatunki stekowców: kangury, wombaty, dziobaki, echidna (te dwa ostatnie to zwierzęta to dziwy z przeszłych epok ewolucji - znoszą jajka, młode wychowują w worku skórny na brzuchu). Egzystuje tu także diabeł tamański - wielkości średniego psa (10-12 kg) - mięsożerny łowca wombatów i małych kangurów. W ostatnich latach jego egzystencja jest poważnie zagrożona rozwojem choroby genetycznej. Australijczycy realizują trudny program ratowania tego zwierzęcia jako gatunku. Do początków XX wieku istniał jeszcze jeden, większy mięsożerny stekowiec - wilk tasmański, niestety doszczętnie wybity przez pierwszych białych osiedleńców, którzy uważali, że stanowi on zagrożenie dla ich stad owiec.

Zarówno diabeł jak i wilk tasmański przetrwali na wyspie dzięki temu, że oddzieliła się ona od kontynentu australijskiego około 12 tysięcy lat temu, na skutek wzrostu poziomu mórz po zakończeniu się ostatniej epoki lodowej. Przybyłszy z Afryki, którzy skolonizowali Australię jako pierwsi ludzie, około 60 tysięcy lat temu (najstarsza grupa ludzkich emigrantów z rodzinnych stron naszego gatunku) miała w towarzystwie psa, zwanego dziś dingo. Ludzie i psy powoli posuwali się na południe, przemierzając rozległe i mordercze pustkowia i pustynie, przekształcając po drodze gruntownie florę i faunę. Ludzie dotarli także na skraj południowy Australii, około 40 tysięcy lat temu, czyli w okresie, gdy na północy naszego globu ludzie zasiedlali Europę i Azję. Na Tasmanii osiedlili się bez towarzystwa psów, co zakończeniu epoki lodowej około 12 tysięcy lat temu, gdy równiny między górami Tasmanii i kontynentu pokryło morze, umożliwiło to przetrwanie na wyspie wielu rzadkich gatunków zwierząt.



Cradle Mountain ca 1550 m



Las paprociowy



Skalki w przyboju



Plaża



Skały z porostami



Święta skała Tasmańczyków

Pierwotnych mieszkańców Tasmanii na początku XIX wieku było niewiele – szacuje się ich liczbę na około 5–6 tysięcy, podzielonych na 9 zwalczających się nawzajem szczepów, mówiących odrębnymi językami. Podobnie jak pierwotna ludność Australii (zwana Aborygenami) posługiwała się kamiennymi narzędziami z grubsza ociosanym, nie знаła rolnictwa, nie używała odzieży (poza okryciami zewnętrznymi w formie zarzucanych na plecy skór zwierząt w okresie zimowym), nie znali łuków i strzał, nie lepili garnków. Nie budowali domów – jak w kontynentalnej Australii ludzie spali nago na gołej ziemi.

Najnowsze badania szacują, że Tasmańczyków przed pierwszymi wizytami białych pod koniec XVII wieku mogło być nawet 100 tysięcy. Niestety biali przynieśli ze sobą choroby, które spowodowały śmierć ponad 90% pierwotnej ludności. Podobnie jak Indianie i Australijscy Aborygeni, Tasmańczycy nie byli odporni na choroby, które dla Europejczyków nie stanowiły aż tak istotnego zagrożenia – jak grypa, odra, ospa wietrzna, koklusz itp. Gleby na Tasmanii, podobnie jak w Australii

praktycznie nie było, woda powierzchniowa wstępuje rzadko i nieregularnie, toteż pierwsi biali osiedleńcy zmuszeni byli do budowy rozległego systemu studzien głębinowych i irygacji, a pierwsze lata przetrwali tylko dzięki dostawom żywności z Europy. Tasmania, dzięki znacznie bardziej wilgotnemu klimatowi niż Australia, jest znacznie bardziej sprzyjająca wegetacji, i co za tym idzie większej ilości zwierząt.

Niewiele pewnego wiemy o religii Tasmańczyków, ale szacunkowe dane wskazują, że podobnie jak wierzenia Aborygenów był i jest to zespół wierzeń w których człowiek jest częścią przyrody. Ludzie rodzą się wśród gwiazd i o nich po śmierci wracają. Ziemia też ma formę ciała, jak ludzie. **Mimo wysiłków misjonarzy chrześcijańskich Aborygeni Australii i Tasmanii pozostali wierni swojej religii i tradycji – choć oczywiście wielu z nich chętnie uczestniczy w mszach za co zwykle otrzymują bony żywnościowe.** Pozostali wierni swoim zwyczajom i tradycjom, niechętni są asymilacji. Niestety pomoc białych w formie bezpłatnej żywności i pieniędzy okazała się dla nich zgubna – powszechny jest wśród nich alkoholizm i przestępczość. Zrealizowany w połowie XX wieku program odbierania dzieci Aborygenom i wychowywania ich w białych rodzinach trudno uznać za udany – to tzw. „stracone pokolenie” po osiągnięciu dorosłego wieku nie zaakceptowało kultury europejskiej, wrócili do swoich aborygeńskich rodzin lub bytują na obrzeżach społeczności białych. Teoria, że człowiek kształtuje rodzinę, obowiązująca w XIX i XX wieku, okazała się błędna – ludzie, przez 60 tysięcy lat bytujący wśród skrajnie trudnej przyrody Australii ewoluowali, dostosowując się o jej wymagań. Ewolucja do nowego środowiska, kształtowana przez przybyszy z Europy, wymagać będzie wielu pokoleń.

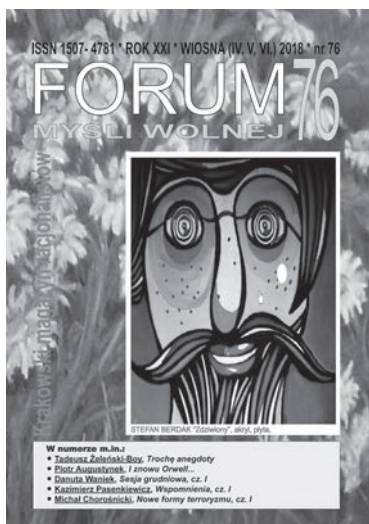
Niestety, ta ewolucja praktycznie nie dotyczy Tasmańczyków. Ich nie ma – jedyni ich potomkowie to pokolenia kilkuset dzieci tasmańskich kobiet i białych myśliwych polujących na foki i wielorybników (głównie Amerykanów). Kobiety były porywane – lub częściej, stanowiły obiekt handlu. Za jedną kobietę plemię Tasmańczyków otrzymywało jednego psa, niezwykle cenionego dzięki ułatwieniom w tropieniu zwierząt.

Potomkowie Aborygenów i białych to swoiści strażnicy wymordowanego narodu. Wymordowanego – bo taką politykę wobec pierwotnych mieszkańców Tasmanii zastosowali Anglicy w pierwszej połowie XIX wieku.

Kolonizacja Tasmanii (nazwanej przez pierwszego europejskiego żeglarza, który na niej wylądował w roku 1642, Holendra Abdela Tasmana Antthoony van Diemensland, na cześć generalnego gubernatora Holenderskich Indii Wschodnich) rozpoczęła się późno – w 1803 roku, Philip King, gubernator brytyjskiej kolonii Nowa Południowa Walia (nazwa zachowała się do dziś, jest to nazwa najludniejszego stanu Australii ze stolicą w Sydney) zaniepokojony aktywnością Francuzów, którzy wysłali szereg ekspedycji, które wylądowały na południowych i wschodnich wybrzeżach wyspy, wysłał niewielki oddział żołnierzy, którzy zbudowali fort u ujścia rzeki Derwent na południu wyspy. Francuzi nie kontynuowali swoich wypraw – uznali Tasmanię za niezbyt sprzyjającą kolonizacji i zbyt odległą od innych kolonialnych zdobyczy Paryża. Anglicy także mieli trudności ze znalezieniem chętnych do osiedlenia się na tym odległym lądzie. Rozwiązaniem okazało się przymusowe osiedlanie przestępców brytyjskich i irlandzkich powstańców. Powstała w ten sposób kolonia skazańców.



Rys. Marek Chaczyk



Historia, której boi się IPN

Pierwsza w Polsce strona poświęcona wydarzeniom z jesieni '56
www.pazdziernik56.pl

47 zł
19,90 zł



42 zł

4 TOMY
W PAKIECIE
145 zł



43 zł



44 zł



45 zł

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU (bezpłatna wysyłka): 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Więcej informacji: tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl



ŚWIADECTWA

Wiesław SZTUMSKI

W kwestii kompromisu między nauką i religią

Pierwotnie, takie subdziedziny kultury duchowej, jak terazniejsza nauka i religia, tworzyły niepodzielną całość – ówczesną wszechwiedzę wywodzącą się z wiary, domysłów, wyobrażeń, presupozycji oraz interpretacji zjawisk przyrody i doświadczeń życiowych. Potem one rozdzielały się i ewoluowały coraz bardziej niezależnie od siebie, zgodnie z własnymi prawidłowościami rozwoju i wykształciły swoiste systemy pojęć (języki); każda dostarczała innej wiedzy o świecie. W czasach racjonalizmu oświeceniowego i scjentyzmu nauka wyodrębniła się tak dalece od religii, że znalazła się w opozycji do niej.

Podaje się różne typologie relacji nauka-religia. Na przykład, Ian Barbour wyróżnia konflikt, niezależność, dialog i integrację.¹ Zaś Mikael Stenmark wymienia niezależność (separację), styczność i jedność (syntezę).² W nich zawiera się konflikt i harmonia. Do tego można jeszcze dodać komplementarność – nauka i religia dostarczają wprawdzie innej wiedzy, ale uzupełniającej się. Separacja i synteza są tylko teoretycznie możliwe. Nie da się całkowicie oddzielić nauki od religii, ponieważ przenikają się nawzajem proporcjonalnie do rozmazywania się i rozszczelnienia granic między nimi. Nie sposób też dokonać syntezy (stopienia się) nagromadzonej wiedzy religijnej i naukowej.³ **Realne są więc trzy realcje: konflikt, komplementarność i harmonia.**

W zasadzie tylko religia chrześcijańska konkuruje z nauką i pozostaje z nią od wieków w stałym konflikcie.⁴ Do pogłębiania się dysonansu między nauką a teologią przyczyniły się ideologie liberalizmu i komunizmu, filozofia materialistyczna, agnostycyzm i laicyzacja. Naukę traktowano jak główną siłę napędową postępu cywilizacyjnego, a religię jak siłę wsteczną, hamującą go. Religia odcinała się od nauki i jak tylko mogła ograniczała jej rozwój z obawy przed wyparciem jej przez naukę. Permanentny

¹ Zob. I. Barbour, *When Science Meets Religion: Enemies, Strangers, or Partners?*, Harper Collins New York, 2000

² Zob. M. Stenmark, *How to Relate Science and Religion: A Multidimensional Model*, Eerdmans Grand Rapids, MI, 2004

³ Zob. A. G. Yushenko, *Science and Religion: Synthesis Instead of Confrontation*, w: *Materials of the Conference "And the Truth Will Make You Free"*, Bratislava 31.1.-2.2.2003

⁴ W religii muzułmańskiej i buddyjskiej kwestia nauki i religii sprowadza się do uznawania prymatu religii albo jej kompatybilności z nauką. A jeśli nauka przeczy religii, to winni są duchowni, którzy nie potrafią odpowiedni zinterpretować Koranu albo Wedy (Zob. N. Guessoum, *Islam's Quantum Question: Reconciling Muslim Tradition and Modern Science*, London and New York: Tauris 2009; H. De Cruz, *Religion and Science*, w "The Stanford Encyclopedia of Philosophy", Spring 2017; S. Vivekananda, *The Vedanta for the World*, 1904).

konflikt nauki z religią nie jest korzystny dla nich. Nas dodatek, żadna ze skonfliktowanych stron nich nie ma szans na pełny sukces w postaci unicestwienia swojego przeciwnika. (Postulat Lenina o zwalczeniu „religii w ogóle”, implementowany przez rządy socjalistyczne, był iluzoryczny i nierealizowalny – równie dobrze można by zwalczać „moralność w ogóle” albo inne subdziedziny kultury duchowej. Faktycznie nie walczone z abstrakcyjną „religią w ogóle”, tylko z konkretnym Kościołem rzymskokatolickim uznawanym za wroga ustroju i postępu.) W takim razie nauce i religii nie pozostaje nic innego, jak zgodnie współistnieć, szanować się i tolerować.

Toteż wielu naukowców i autorytetów religijnych zwraca uwagę na potrzebę wzajemnego wspierania się nauki i religii, przede wszystkim w planie poznawczym. Z jednej strony, naukowcy dostrzegają ograniczoność swoich teorii i potrzebę dopełnienia ich wiarą (także religijną), wyobraźnią (fantazją) i sztuką.⁵ Znamienne są dwie znane wypowiedzi A. Einsteina: „*Nauka bez religii jest ułomna, religia zaś bez nauki – ślepa*”⁶ oraz „*Wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy*”. Zaś z drugiej strony, teologowie i wierzący chcą, by nauka dostarczała im twardych dowodów na istnienie Boga, prawdziwość dogmatów wiary i słuszność swoich przekonań.⁷ Stosunek religii do nauki (albo wiary do rozumu) był tematem ogromnej liczby publikacji i konferencji, m.in. regularnego seminarium interdyscyplinarnego „*Nauka – Religia – Dzieje*”, w których Jan Paweł II spotykał się w Castel Gandolfo z polskimi specjalistami różnych obszarów nauki, głównie przyrodniczych – biologami i fizykami. (*Notabene*, miał neotomistyczną *idée fixe* dowodzenia naukowo czy rozumowo istnienia Boga i prawdziwości dogmatów, czego nie da się zrobić.)

W istocie, pod pewnym względem nauka jest podobna do religii. Fundamentem nauki (teorii naukowych) są często aksjomaty, dla których nie ma twardych dowodów; naukowcy uznają je za prawdziwe „na wiarę” – wierzą, że zostaną kiedyś empirycznie zweryfikowane. (Jedne z nich zostają po pewnym czasie zweryfikowane, inne nie.) To ma miejsce nawet w tak mocno sformalizowanej („ściślej”) nauce, jak fizyka. A fundamentem religii są dogmaty, których prawdziwości nie sposób udowodnić racjonalnie i które też przyjmuje się „na wiarę” bez szansy na weryfikację. **Nie ma istotnej różnicy między niezweryfikowanym aksjomatem naukowym a nieweryfikowalnym dogmatem religijnym.** W pierwszym przypadku wierzy się w jedne absoluty (prawa natury, porządek świata, samoorganizację), a w drugim – w inne (bóstwa, siły nadprzyrodzone). Efektem przenikania się nauki i religii jest pojawienie się obszarów wspólnych: quasi-religii⁸ i para-nauki, które rozszerzają się.

Dalsze podtrzymanie konfliktu między nauką i religią, a tym bardziej podsycanie go, generuje różne animozje, podziały i sprzeczności antagonistyczne między ludźmi różnych opcji światopoglądowych, wierzącymi a niewierzącymi, teologami a naukowcami, naukowcami o poglądach teistycznych i ateistycznych lub agnostycznych itd.

⁵ Zob. R. Penrose, *Moda, wiara i fantazja w nowej fizyce Wszechświata*, Copernicus Center Press, Kraków 2017

⁶ Słowa „religia” nie użył zamiennie za słowo „wiara”, jak twierdzą katolicy interpretatorzy tego aforyzmu. „Religię” rozumiał Einstein nie teistycznie, lecz panteistycznie – jak religię kosmiczną, która odrzuca boga osobowego i dogmaty teologii, raczej jak „myślenie religijne”. (Zob. J.A. Coyne, *Einstein’s Famous Quote About Science and Religion Didn’t Mean What You Were Taught. The scientist actually offers no solace to believers.* w: *New Republic*, 04.12. 2013). „Słowo ‘Bóg’ – pisze Einstein – nie jest dla mnie niczym innym, jak wyrażeniem i produktem człowieka.” Twierdził on, że nauka pomaga zrozumieć fizyczną strukturę wszechświata, a religia zajmuje się wartościami, moralnością i sensem. Równie ułomna, jak nauka bez religii, jest religia bez nauki, ponieważ, zwłaszcza, gdy jest słaba, wymaga podpierania się nauką.

⁷ W ostatnich latach tylko w języku niemieckim opublikowano kilkadziesiąt książek, w których wykorzystuje się fizykę do potwierdzenia dogmatów wiary chrześcijańskiej.

⁸ Quasi-religią nazywam ideologię, która głosi kult wodza (faszyzm), partii (komunizm), pieniądza (konsumpcjonizm), itp.).

Dlatego dobrze byłoby znaleźć jakiś kompromis na gruncie pogodzenia interesów, funkcji i celów nauki i religii. Próbę nie tyle kompromisu, co dialogu nauki z religią zaprezentował ostatnio Jan Paweł II w encyklice *Fides et ratio*. Ale jest to kompromis asymetryczny (jednostronny) i zwodniczy, bo bazuje na uznaniu Magisterium Kościoła (instytucję religijną) za ostateczną wyrocznię w sporze nauki z religią o prawdę.

Proponuję szukać kompromisu na realnej i bezstronnej w tym sporze platformie environmentalizmu filozoficznego⁹. Dzięki niemu zaistniałaby szansa na powrót do pierwotnej jedności nauki i religii oraz do ich harmonijnego i synergicznego rozwoju. Chodzi tu o jedność w sensie funkcjonalnym – nauka i religia ma służyć przede wszystkim jednemu wspólnemu celowi, niezależnie od światopoglądu, profesji, przynależności etnicznej, wyznania itp. Jest nim jest zapewnienie ludziom warunków przetrwania oraz maksymalnego wydłużenia czasu istnienia gatunku ludzkiego na Ziemi. Jednak warunkiem realizacji tego kompromisu jest, by nauka i religia zachowując swoją tożsamość i odrębność, wyrzekły się chęci dominacji. Implementacja takiego modelu relacji nauka-religia jest wyzwaniem trudnym, ponieważ w ciągu wieków narosły uprzedzenia i wrogie postawy. Jednak ze względu na dobro ludzkości, a nie partykularnych interesów nauki i religii, nie należy rezygnować z prób odbudowy dawnej harmonii między nauką i religią. **Realny kompromis jest jedynym wyjściem z impasu, w jakim znalazła się nauka i religia.**

Autorem tekstu jest profesor filozofii, wieloletni wykładowca Uniwersytetu Śląskiego, autor wielu ważnych książek z dziedziny filozofii, przyrody, techniki i współczesnego życia człowieka.

⁹ Przedstawiłem go szczegółowo w referacie *Science vs. Religion in Modern Thinking* opublikowanym w „1st World Hongming Philosophy Congress Abstracts”, Honolulu 2004 .

Z debaty z prof. Ireną WOJNAR

Res
tam
była

Humanistyczne alternatywy

To kolejne, u końca lutego 2018 r., spotkanie u prof. Ireny Wojnar w warszawskim Pałacu Staszica było kontynuacją refleksji budowanej w sprzeciwie wobec inwazji procesów komercjalizacji czy elektronizacji naszego współczesnego życia, usuwającego z niego wszystko co zwyczajnie ludzkie – empatię, wrażliwość, zaufanie czy solidarność; było sprzeciwem, lecz zarazem propozycją poszukiwania rozwiązań alternatywnych.

Rozwiązania alternatywne, przypominała prof. Irena Wojnar w swoim słowie otwierającym debatę, nie „muszą wyrażać się w przeciwstawianiu biegunowo odmiennych racji, jako znany «dualizm wahadła», czy konieczności wyboru między skrajnymi stanowiskami, może natomiast pobudzać poszukiwanie nowych możliwości otwartych, przewyżnianie schematów interpretacyjnych, różnorodność racji i wizji”.

W tej perspektywie już na jednym z poprzednich spotkań sformułowano postulat o konieczności rozwinięcia edukacji humanistycznej w systemie nauczania i wychowania w polskiej szkole. Nie trudno było uzyskać zgodę na taką ogólną konstatację, trudniej na jej konkretyzację. W grę wchodzi bowiem aspiracje wielu podmiotów zaangażowanych dotąd w kształtowanie programów szkolnych czy podręczników,

aspiracje wykluczające wszelkie poszukiwania alternatywne, bo przywiązane czy powiązane z owym trendem wynoszącym pod niebiosa wiedzę encyklopedyczną o wszystkim co się da, eliminując cel i sens tej wiedzy w codziennym, pozazawodowym ludzkim życiu.

I właśnie na konieczności poszukiwania tego, co doprowadzi do porozumienia tych rozbieżnych dziś wizji edukacji, skupiła się uwaga uczestników spotkania, o którym tu mówimy. Jej podstawą był wysłuchany z uwagą referat prof. Henryki KWIATKOWSKIEJ na temat „Wrażliwości humanistycznej w urynkowionym świecie” oraz koreferat dr Agnieszki PIEJKI. Były to refleksje dyktowane poczuciem wielkiej troski o kształt światopoglądowo-moralny kolejnych generacji Polaków, w którym nie będzie tak wiele, jak dziś, wzajemnej zawiści, uprzedzeń czy nieufności, a w którym rozszerzy się przestrzeń uznania «inności» za wartość, a nie zło, gdzie solidarność zastąpi rywalizację i konflikt.

Liczne były i są, przypomniawszy prof. Irena Wojnar, propozycje koncepcji edukacji humanistycznej. Godne uwagi są np. przemyślenia zawarte w projekcie „Modelu wykształconego Polaka”. Edukacja humanistyczna pojawia się tam jako podstawa umiejętności sterowania własnym życiem (owo wciąż aktualne wskazanie Bogdana Suchodolskiego o *Rozumieniu świata – kierowaniu sobą*), jako droga budowania „sił duchowych człowieka”, kształtowania „całości życia osobowego”.

I rzecz niebagatelna. Aktualna edukacja humanistyczna – podkreśliła w swoim wystąpieniu prof. I. Wojnar, wymaga uwzględniania obiektywnie istniejącej sytuacji w jakich żyją dziś ludzie, wielorako zagrożeni i różnie manifestujący swoje złe samopoczucie. „Dlatego wymaga starannego wyważenia i zrównoważenia edukacja «w świecie rzeczy» i w «świecie wartości», nowego uzasadnienia poczucia sensu przyjaźni i wspólnoty zagrożonej przez brutalizację życia i agresywność jednostek, nierzadko z powodu odrzucenia czy marginalizacji społecznej”.

W ważnej debacie, w której uczestniczyli m.in. prof. Henryk DEPTA, dr Ewa RODZIEWICZ, prof. Maria SZYSZKOWSKA i prof. Bogusław ŻURAKOWSKI, byliśmy świadkami wołania o pedagogikę zwróconą na człowieka, na formowanie jego godności i moralnej siły. Nawiązał do tych idei uczestniczący w spotkaniu prof. Jerzy KLEER, wiceprzewodniczący Komitetu Prognoz POLSKA 2000 Plus PAN, podkreślając ich wagę, jak i wysoko oceniając dotychczasowy trud uczestników debat prowadzonych przez prof. Irenę Wojnar: nieoceniony trud zwrócony ku dobru pokoleń, w myślach i sercach których wciąż żywe pozostają wartości demokratyczne i humanistyczne, otwarte na człowieka i współczesny świat.

Uczestniczyliśmy w spotkaniu przywracającym, choćby na ten tylko czas, ład myślenia o świecie, w którym tego ładu jakże dziś ubywa.

Wacława MIELEWCZYK

Adam KEDZIERAWSKI
Z nowych sentencji i fraszek

W skromności szukać warto twórczych możliwości

Powaga nie zawsze pomaga

W każdej radości życia jest coś do ukrycia



Rys. Marek Chaczyk

Kryprowaluty już nie obce

FAKT

Rewolucja informatyczna, która zaskakuje nas budzącymi podziw wytworami, które bywają i wyzwaniem, wkracza w nowe sfery naszego życia zbiorowego.

Poniższy tekst sygnalizuje problematykę tzw. kryptowaluty, niełatwą w jej zrozumieniu, lecz która – czego nie wolno wykluczyć – może istotnie wpłynąć na nasze zachowania jako posiadaczy klasycznych pieniędzy, tak zdeponowanych w bankach, jak i użytkowanych na co dzień. Dlatego warto pokonać trud lektury tekstu, aby coś wiedzieć o tym, co przed nami.

Redakcja „RES HUMANA”

Ostatnimi czasy obserwować można narodziny nowego trendu, którego początki sięgają końca ubiegłego wieku. Kryptowaluty, albo rzadziej używana nazwa – waluty kryptograficzne.

Na ich czele dzielnie stoi waluta o nazwie Bitcoin. Mimo dużego spadku wartości tej waluty w ostatnim czasie, to jednak jego cena wynosi ponad 28 tysięcy złotych, czym bije na głowę resztę kryptowalut. Złoto, bo tak nazywany jest w branży Bitcoin, stworzony został 3 stycznia 2009 roku przez enigmatyczną postać (osobę, albo grupę osób) Satoshi Nakamoto, jako adaptacja pomysłu z 1998 roku określonego jako kryptowaluta. W *dance macabre* kryzysu gospodarczego z lat 2008/09 wyłonił się taki oto twór, mający być wyrazem sprzeciwu wobec władczo sterowanego przez banki sektora finansowego na świecie: pieniądz zdecentralizowany, bez nadzoru wielkich instytucji, bez identyfikacji, kompletnie nie-fizyczny, a wręcz konspiracyjny i buntowniczy, którego można sobie „wykopać”. I o ile możemy się zgodzić, iż cała idea powstania przeciwko systemowi skostniałej kontroli bankowej jest heroiczna i postępową, jak również, że technologia blockchain, o której powiemy więcej za chwilę, może zostać wykorzystana w innych dziedzinach, o tyle trzeba sobie uświadomić, że internet i jego potencjał to coś, czego jeszcze w pełni nie zgłębiliśmy, a waluta operująca tylko w sferze cyfrowej, to dla większości społeczeństwa science fiction.

Szukając odpowiedniej i prostej, w rozumieniu Kartezjańskim, definicji tego czym jest właściwie kryptowaluta natrafiamy na wiele przeróżnych opisów, twierdzeń, informatyczno-finansowego bełkotu, którego laik nie zrozumie. Dochodzi niekiedy nawet do błędów logicznych. Na szczęście zgrabnym określeniem popisał się Europejski Bank Centralny, który uznał, że **kryptowaluta to cyfrowa (zaszyfrowana) reprezentacja wartości, nieemitowana przez bank centralny, instytucję kredytową lub instytucję pieniądza elektronicznego, która w niektórych okolicznościach może być używana jako alternatywa dla pieniądza. Alternatywa dla pieniądza! Nie jest to już zatem pieniądz wirtualny jak np. moneta obowiązująca w grze, tylko realny (choć cyfrowy) środek płatności.** Najlepszym przykładem wczesnego wcielenia w życie wspomnianego Bitcoina jako środka płatności, jest Palestyna, gdzie systemy płatności bardzo kuleją, nie ma tam bankomatów, terminali do kart etc., zatem jedyną opcją transakcji bez użycia pieniądza klasycznego jest właśnie Bitcoin. Wiele państw bardzo uważnie przygląda się tej osobliwej scenie, natomiast niektóre jak np. Japonia i Australia już przyjęły Bitcoina z otwartymi rękami legalizując go jako walutę, a także zaakceptowało go wiele międzynarodowych firm i korporacji. Z polskich firm są to np. LOT, Medicover i Sawa Taxi. Polski Urząd Skarbowy nakazuje natomiast, aby wykazywać dochody z obrotu kryptowalutami od 2016 roku w zeznaniach podatkowych, a także żąda udostępnienia informacji na temat

transakcji i użytkowników takich portali jak Bit-Bay i Bit-Market obecnie największych giełd kryptowalut w Polsce. Szef banku JP Morgan Jamie Dimon przed rokiem podsumował kryptowaluty zwięźle: „To oszustwo!”. Niemniej biorąc pod uwagę, że gra toczy się o dość spore pieniądze, opodatkowanie tego sektora jest zrozumiałe, wszak pieniądze na populizm nie biorą się z powietrza. Nie wiadomo niestety dokładnie jakiej wysokości podatek odliczać i tutaj stykamy się z ograniczeniami prawa w stosunku do pędzących naprzód technologii. Jak mawiał Wespazjan *Pecunia non olet* (pieniądze nie śmierdzą) dlaczego by nie wprowadzić podatku od pieniądza, którego nawet nie można powąchać, co pewnie było by dla niego zaskoczeniem, gdyby znalazł się w XXI wieku.

Wracając do pełniejszego zrozumienia tego czym jest kryptowaluta i jakie są jej cechy, ważnymi aspektami nieporuszonymi w definicji Europejskiego Banku Centralnego, a wartymi wskazania są: pełna anonimowość posiadaczy kryptowalut, znacznie niższa prowizja od transakcji i większa prędkość przesyłu środków.

Kryptowaluty, niestety, z racji swojej anonimowości wykorzystywane są często do opłacania działań przestępczych i terrorystycznych.

Specjaliści branży kryptowalut podkreślają, że Bitcoin i wiele innych kryptowalut jest zabezpieczeniem przed inflacją, ponieważ ma on charakter deflacyjny, a także wydaje się przyszłością prowadzenia transakcji. I zasadniczo trudno się nie zgodzić, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż państwa mogą dodrukowywać w każdej chwili swoją walutę, a bitcoinów wyemitowanych zostanie, zgodnie z założeniem Satoshi Nakamoto, tylko 21 milionów i to do 2140 roku. Obecnie w obiegu jest ok 17 milionów Bitcoinów, a biorąc pod uwagę podzielność tej waluty do ósmego miejsca po przecinku, widzimy, że spokojnie starczy jej dla wszystkich.

Występuje kilka powodów tak częstych wahań kursu danej jednostki kryptowaluty – jak to na giełdzie. Głównie jest to rozwój samej technologii, podaż i popyt, adopcja kryptowaluty jak w przypadku Japonii i Australii – w momencie legalizacji wartość Bitcoina poszybowała w górę kilkukrotnie. A także sytuacja gospodarczo-polityczna: w momencie kiedy w Grecji zablokowano dokonywanie transakcji z użyciem kont bankowych, wartość Bitcoina urosła o 30 proc. w ciągu jednego dnia. To skłania do refleksji na sytuacją, w której nagle każdy chciałby wypłacić pieniądze z konta bankowego. Zapewne dostałoby je kilka pierwszych osób, dla reszty by nie starczyło. Właśnie tak wygląda obecny system finansowy, to iluzja, cyferki na ekranie. Obecnie 90 proc. pieniędzy jest w obiegu wirtualnym, to podobnie jak kryptowaluty, cyfrowy zapis, z jedną różnicą – nadzorowany przez instytucje finansowe.

Pojawia się pytanie: w jaki sposób i na jakich zasadach działa Bitcoin? Jaki jest jego system użytkowy? Odpowiedź, to technologia Blockchain. Szalenie nowoczesna, innowacyjna, energochłonna, zdecentralizowana i transparentna. Opiera się na rozproszonym systemie rejestrów transakcji, nad którym nadzoru nie sprawuje żadna instytucja, tylko sami użytkownicy. Każda transakcja, aby zostać zaksięgowana musi otrzymać kod kryptograficzny, zatem ten kto pierwszy z użytkowników znajdzie odpowiedni kod „wygrywa” i dostaje kilka groszy prowizji. Tworzy się „cegiełka”, która dołącza do reszty cegiełek z innymi kodami tworząc cały łańcuch. Można go łatwo prześledzić. Zalety tegoż systemu to m.in. niezależność od polityki, brak ewentualnej ingerencji cenzury, czy wykluczenie fałszerstwa. Blockchain już teraz uważany jest za przyszłość prowadzenia księgowości i rejestrów, co ma ogromny wpływ na sektor finansowy i logistyczny.

W Szwecji Blockchain wykorzystuje się do rejestru ziemi (Land Registry), a w Polsce planuje się użycie go do budowy bezpiecznego rejestru medycznego. Jednym z najszlachetniejszych pomysłów na zastosowanie owego Blockchajna jest system płatności za

zakupy w obozie dla Syryjskich uchodźców w Zaatari (Jordania). Robiąc zakupy żywnościowe ocalali płacą pieniędzmi ze Światowego Programu Żywnościowego ONZ, skanując siatkówkę oka. To rozwiązanie zabezpiecza pieniądze, które otrzymują bezpośrednio osoby potrzebujące. Bez ingerencji zewnętrznej instytucji, wyklucza to więc możliwość przekierowania funduszy na konta np. grup przestępczych owego obozu. Ten pionierski projekt zawdzięczamy polskiej firmie Baltic Data Science, która ma już doświadczenie w uruchamianiu nowatorskich rozwiązań dla dużych organizacji i korporacji.

Ale, niestety, za wzrostem rozwoju i innowacyjności często idzie wzrost zużywanej energii. Jak podaje gazeta „Rzeczpospolita” – *od 2005–2030 roku zapotrzebowanie na energię na świecie skoczy o 55 proc.* Biorąc pod uwagę fakt, iż sam Bitcoin, który wykorzystuje system Blockchain, zużywa tyle energii co średniej wielkości państwo, jest perspektywą przynajmniej zatrważającą. Nie tylko dla ekologów, ale też pewnie dla producentów energii.

W świetle rozpoczynającej się rewolucji gospodarczej oznaczonej cyframi 4.0 kryptowaluty, a tym bardziej system Blockchain, odegrają jedną z głównych ról. Zastanawiam się natomiast czy jesteśmy gotowi na kolejną rewoltę. Może lepiej zastąpić ją naturalną ewolucją, wolniejszą, lepiej przemyślaną. O *dobrym dzikim* Rousseau lepiej nie wspominać, wszak po zmianach technologicznych będziemy być może ze wzruszeniem, tęsknotą i satysfakcją patrzeć w tył. **Z drugiej zaś strony może na tym polega rozwój. Pędzi nie patrząc na nikogo, powstaje, a potem zmuszeni jesteśmy do adaptacji i adopcji.** Ja jednak uważam, że chwila na zastanowienie wydaje się ludzkości potrzebna. Nie natknąłem się jeszcze na rozprawę etyczną dotyczącą tematu nowych technologii. Pomogłoby to uściśleniu nazewnictwa, legislacji, poznaniu i użytkowaniu.

Rodzi się zatem pole do refleksji. Iść dalej czy przystanąć?

Adam SŁOWIK

Autor tekstu jest studentem Uniwersytetu Humanistyczno-Społecznego SWPS w Warszawie.

Pragniemy zarazem przeprosić Autora i Czytelników za korektorskie uchybienie, w wyniku którego pominięte zostało jego imię i nazwisko pod tekstem pt. *Polskość z perspektywy emigrantów*, zamieszczonym w poprzednim numerze „RES HUMANA”.

Redakcja

Fundusz wsparcia „RES HUMANA” trwa

Kolejne miesiące Nowego Roku powiększyły FUNDUSZ WSPARCIA naszego czasopisma o nowe świadectwa pamięci i kolejne wpłaty naszych niezawodnych Czytelników i Prenumeratorów „RES HUMANA”. Oto Oni:

Pan Stanisław DUTKA z Warszawy

Państwo Profesorstwo Hanna GÓRKIEWICZ-GALWAS i Bogdan GALWAS z Warszawy

Pan Marian JAKUBCZAK z Warszawy

Pan mgr Henryk KANIA z Poznania

Pani Miła KWAPISZEWSKA z Poznania

Pan Stanisław MORDAS z Wałcza

Pani Wiesława WINIARSKA z Konina

Pan red. Daniel ZBYTEK z Canberry w Australii

Serdecznie dziękujemy naszym Darczyńcom i niemniej wszystkim, którzy kontynuują prenumeratę naszego czasopisma w 2018 roku.

Redakcja „RES HUMANA”

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Szczęście a edukacja

Pascal zwrócił uwagę na to, że wiedza naukowa nie pomaga człowiekowi w rozwiązywaniu problemów własnego życia. Nie przyczynia się do odpowiedzi na pytanie co powinno stanowić sens istnienia, jakie cele powinny wyznaczać nasze działania. System edukacji jest od wieków nastawiony na kształtowanie sfery intelektualnej, ale człowiek nie jest ucieleśnionym rozumem. Od połowy XX wieku wiadomo, że nie ma stanów psychicznych wolnych od obecności uczuć. Leżą one także u podłoża procesów „czysto” intelektualnych. Ukierunkowują nasze zainteresowania i przesądzają często działania dla których poszukujemy potem racjonalnych uzasadnień.

O wartości człowieka nie decyduje ani poziom wykształcenia, ani stan majątkowy, ani zajmowane stanowisko. Wysoki poziom rozwoju uczuć, wrażliwość i wyobraźnia są warunkiem człowieczeństwa w pełnym tego słowa znaczeniu. Istotne znaczenie pełni również odniesienie do wyższych wartości czyli ideałów. Niestety zinstytucjonalizowana edukacja nie podpowiada jak kształtować sferę uczuć na wyższym poziomie. Nie wyjaśnia tego, że celem życia jednostek nie powinno być zmierzanie do kariery i sukcesu. Bohaterowie utworów Żeromskiego, by wymienić doktora Judy-ma, Siłaczkę, czy Cezarego Barykę odnajdują sens życia w zmierzaniu do ideałów, co zarazem przynosi im szczęście mimo napotykanych ograniczeń i trudności. Ażeby odczuwać szczęście trzeba nie o nim myśleć, lecz o sprawach ogólnych, nieosobistych, którym warto poświęcić starania.

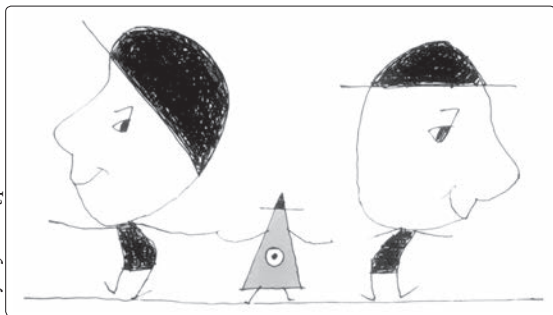
Nie doznają szczęścia ci, którzy sami nie wiedzą czego chcą od życia, którzy mają pragnienia nieokreślone. Zawodne jest szukanie szczęścia w tym, co zewnętrzne, zamiast w sobie. Mędrcy Dalekiego Wschodu uczą, by skierowywać oczy „ku wyżynom”. Przeżycia radości i szczęścia wzmagają zdrowie psychiczne. Istotnym czynnikiem szczęścia jest tworzenie wspólnoty z tymi, którzy podzielają nasze dążenia ku realizacji określonych ideałów.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co napisałam odbiega daleko od naszej epoki neoliberalnej traktującej człowieka jako kapitał ludzki i skłaniającej nas do zmierzania w kierunku zysku materialnego. Jednowymiarowość istnienia sugerowana przez

neoliberalizm ekonomiczny XXI wieku odbiega daleko od dziewiętnastowiecznego liberalizmu ekonomicznego, który skłaniał do rozwoju duchowego po osiągnięciu jakiegoś statusu materialnego. Dziś zagadnienie szczęścia jest czymś jałowym w przekonaniu wielu, bowiem człowiek jest traktowany nie jako cel sam w sobie – mówiąc językiem Kanta – lecz jako środek do celu.

Nie wiem na ile byłoby zrozumiałe dla osób uformowanych przez neoliberalną

Rys. Jan Stepien



edukację oraz media – upojenie światem, czy radość istnienia znamionująca wyznania Simone de Beauvoir i Sartrea. W książce *W sile wieku* autorka pisze: „Dlaczego mielibyśmy żałować, że nie jeździmy samochodem, jeśli chodząc pieszo wzdłuż kanału Saint-Martin, czy po bulwarze de Berry, robiliśmy tyle odkryć? Kiedy jedliśmy w moim pokoju chleb ze sztrasburskim pasztetem, kiedy byliśmy na kolacji w piwiarni(...) nie czuliśmy się niczego pozbawieni”. Zachłanne wchłanianie świata w jego wielowymiarowości nie może poruszać wyobraźni i pociągać tych, którzy swoje siły oddają pracy z myślą o zysku i sukcesie.

Dążenie do tego, co nigdy zresztą w pełni jest nieosiągalne, to cel godny człowieka. To wyraz czynnego zaangażowania wraz z innymi w przekształcanie świata, który nie budzi poczucia sprawiedliwości. Niezbędna jest postawa, którą określam mianem społecznego indywidualizmu. Tylko z pozoru to pojęcie może wydawać się wewnętrznie sprzeczne.

Człowiek XXI wieku w czasie wolnym od pracy, pogrąża się w świecie wirtualnym i nie rozstaje się z telefonem komórkowym. Ucieka przed namysłem nad własnym istnieniem. Nie dręczy go pytanie o autentyczność własnych poglądów. Wartość wygody sprawia, że ulega nowinkom cywilizacyjnym nawet, gdy szkodzą zdrowiu i ta sama wygoda prowadzi do bezkrytycznego przyjmowania poglądów dobrze widzianych w danym miejscu i czasie.

Eugeniusz KABATC

Wieczory na rozdrożu

Niewinny oddech władzy

– Jak tam w edukacji, drogi Profesorze? Politycy trzymają się mocno? Nerwowo sparafrazowałem w przestrzeni elektronicznej, ale Profesor niespieszny z odpowiedzią.

Czas był niespokojny, władze kraju szykowały się do wojny i w czujnej dbałości o bezpieczeństwo obywateli sprowadziły nowoczesną broń i wojska z za oceanu. Na wszelki wypadek mobilizowały też oddziały partyzanckie. Ale do tego wystarczyły już zasoby krajowców. Gorzej było z obcymi. Czemuś ich władza nie lubiła, a wśród zaciężnych wojsk było ich, zwłaszcza czernoruskich, niemało. Zawsze w naszej historii mieliśmy z nimi dużo kłopotów, a tu jeszcze okazali się bardzo kosztowni. Trzeba im było dokupić jeszcze ich własnych „patriotów”, bo nasi nie nadawali się do obrony. Byli po prostu źle wychowani i marzyli raczej o rozrywkach w ciemnym pokoju niż o świetlistej wojnie...

Toteż Profesor jednak zareagował.

– Ależ tak, Przyjacielu – odrzekł wreszcie, bez pełnego jednak przekonania. – Dla polityków pokój jest rzeczą nudną, bez projektu wielkiej przygody przegrają każdą wyborczą batalię.

– Nie wystarcza przygoda wspólnej Europy? – zapytałem nieco patetycznie.

– To już jest – zauważył Profesor. Nie może trwać w glorii dobrobytu. Wszak życie jest walką i co trwa w pokoju za długą, umiera.

– Albo się rozwija – wrzuciłem buńczucznie.

– Wymaga zmiany – pojednawczo uzupełnił Profesor.

– Dobrej zmiany – brnąłem na oślep.

– *Houston*, mamy problem – roześmiał się.

Profesor trochę gorzko, owszem, od razu się usprawiedliwił: – Szkopuł w tym, że to, co dla jednych jest dobre, dla drugich bywa złe.

- Nie mamy prawdy pośrodku? - dopytywałem się natrętnie. - I was, nauczycieli, byście ją nam od dziecka stale wklepywali?

- A my mamy polityków - westchnął Profesor z pozorowaną bezradnością. O nich przecież pytałeś.

- Żartowałem...

- Tu nie ma żartów. Bo oni zawsze tworzą nową rzeczywistość, Przyjacielu. Dziś tak zmienili nam historię, że to my, Polacy, powinniśmy być panami Europy. Nawet Bułgarię wyzwoliliśmy spod jarzma tureckiego.

- Władysław Warneńczyk?

- No coś ty? Rosjanie z udziałem wołyńskiej lejbgwardii. Było tam kilku Polaków...

- To tak, jak Ukraińcy wyzwolili Oświęcim, bo to był Front Ukraiński.

- Rosjanie są niemodni - powiedział Profesor. - Przekonanie, że bezpieczeństwo to polityka dobrosąsiedztwa - też. Nieufność staje się powszechna. Nie tylko między instytucjami, ale i między ludźmi. Coraz trudniej jest wydobyć się ze swej podmiotowości ku społecznej empatii. Ogrywamy siebie nawzajem bez nadziei, że zyskujemy coś więcej niż plemienną satysfakcję wyróżnionego w historii ludzkiej obłądy. Cwaniactwo zastępuje inteligencję, lecz nie gasi jej istnienia, uświadamiając jedynie, że gra tu nie jest nigdy zwycięska. To fałszywa świadomość, Przyjacielu, woli się nie ujawniać.

Profesor mówił coś jeszcze o ludziach poszukujących swojej tożsamości, o lęku przed przyszłością ukrytą w narodowym charakterze losu... ale uznałem, zapewne nazbyt pochopnie, że marudzi, ulega ostrożności, by nie orzec jednoznacznie, że „pospolitość skrzeczy” i mamy do czynienia ze zwyczajnym nacjonalizmem. Odrzekł, że nie ma nic zwyczajnego w tym, że wraca to, co zostało tak gruntownie skompromitowane.

- Ta władza nie wynosi polskości ku dumie - powiedział. - Ona tę polskość degraduje, zwraca ponownie ku tromtadracji, bicia w tarabany...

I wtedy zawiesił mi się komputer. W miejskim smogu. Poczuję duszący wyziew tradycji. Czemuś przypominał nieświeży oddech władzy.

Lektury nieoczekiwane

Wacław SADKOWSKI

U źródeł inspiracji

Julian TUWIM

Kwiaty polskie

*Lecz nade wszystko słowom naszym,
Zmienionym chytrze przez krętaczy,
Jedyność przywróc i prawdziwość:
Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość sprawiedliwość.*

Starczy poryw: niechże zmiana miejsca zamieszkania stwo-
rzy okazję do uporządkowania księgozbioru! Położy ono kres
daremny poszukiwaniom czegoś, co się gdzieś skryło, między
różnego formatu tomami mego księgozbioru, rozsianego po
kilkunastu półkach i kilku szafach bibliotecznych w różnych
pomieszczeniach.

Tym właśnie sposobem trafia mi do rąk ten, wydany przed
kilkunastu już laty tomik, zawierający w sobie dziełko rozsta-
wione po całym świecie. Nigdy dotychczas go nie przeczyta-
łem: nie było mi doraźnie potrzebne, znałem od lat mnóstwo

jego omówień, całą jego legendę. Wyczerpująco przedstawił proces jej wytwarzania
i szerzenia się nieodżałowanej pamięci profesor Tazbir w swym obszernym wprowa-
dzeniu do tej edycji. Po uważnym jego przestudiowaniu przechodzę do lektury tekstu
inkryminowanego dziełka (powstałego na przełomie XIX i XX wieku).

I tu nagle odkrycie; ten tekst brzmi znajomo, choć go nigdy dotychczas nawet
nie próbowałem przeczytać. A też i żadne ze znanych mi dotychczas jego omówień

nie przytaczało zeń żadnych cytatów. Upozorowane na „przeciek” z jakiegoś wymaginawanego ośrodka „władzy nad światem”, pomyślane jako splotka mająca wywołać seryjne wybuchy najdzikszych pogromów antysemickich, rozeszło się ono z Rosji po wielu krajach i w wielu różnych językach, w wielomilionowym nakładzie. Niezwykłą popularność tego utworu traktowano jako osiągnięcie z zakresu swego rodzaju najczarniejszej ówczesnej pop-kultury.

Tak, to o nim też z pewnością dyskutowało w BUW-wie (Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego), w jej starym gmachu, gronko gromkich młodzieńców, skupiające się wokół charakterystycznej wtedy dwójki bliźniaków. Nikt z tego grona nie krępował się w najmniejszym stopniu wezwaniami dyżurnych bibliotekarek do zachowania ciszy, do nie zakłócania obowiązującego w czytelnicy spokoju (i miało to pozostać stylem zachowania się tych gentlemanów w późniejszym ich życiu publicznym). A wyrzaskiwane przez nich formułki imperatywne, zaczerpnięte najpewniej z tego właśnie źródła inspiracji, wbiły mi w pamięć osobliwą, arcy-demagogiczną stylistykę przytaczaną przez nich z pamięci tekstu.

I oto mam go w rękę. Już na pierwszy rzut oka charakteryzuje się on znamionami programowego manifestu politycznego – jakiejś grupy? Partii? Ruchu społecznego? Podzielony jest ten manifest na kilkanaście rozdziałków nazwanych „wykładami”; z kolei każdy z nich składa się z nakreślającej jego tematyczny zakres formułki tytułowej oraz jej rozwinięcia, w hasłowym skrócie ujmującym jakiś problem. Każde zaś z tych mikro-omówień opatrzone jest numerowanym symbolem paragrafu. Typowa podręczna struktura instruktażowa.

Wykład I przedstawia programowe założenia aksjologiczne i polityczne tego osobliwego dziełka. Wyłożono w nim z rozbijającą szczerością przekonanie, że „*polityka nie ma nic wspólnego z moralnością. Władca, powodujący się moralnością, nie jest politykiem i jako taki nie może być pewny swego tronu. Kto pragnie rządzić, musi tym samym uciekać się do podstępów i do obłudy. Wielkie cnoty narodu – szczerość i uczciwość – są wadami w polityce, bowiem łatwiej i pewniej, niż wróg najpotężniejszy, strącają władców z tronu.*”

Wprowadzane zaś w myśl tej właśnie zasady, „...*prawo nasze polega na sile. Wyraz «prawo» zawiera w sobie myśl abstrakcyjną i niczym nie dowiedzioną. Wyraz ten nie oznacza nic innego, jak tylko: dajcie mi, czego chcę, bym w ten sposób posiadał dowód, że jestem silniejszy od was. [...] Należy zrozumieć, że potęgą tłumy jest ślepa, nie-dowolna, niezdolna do rozważania, nasłuchująca na wszystkie strony. [...] Tłum to barbarzyńca, ujawniający, przy każdej sposobności swe barbarzyństwo.*”

Podobnie rzecz ma się z pojęciem wolności: „*Wyraz «wolność» wystawia społeczeństwo na walkę przeciwko wszelkiej władzy, nawet Boskiej i przyrodzonej. Oto przyczyna, dla której przy objęciu władzy będziemy zmuszeni wykreślić wyraz ten ze słownika, jako określenie zasady siły zwierzęcej, zmieniającej tłum w stado zwierząt krwiożerczych. Prawda, że zwierzęta te, po opiciu się krwią, zasypiają i wówczas łatwo zakuć je w kajdany, ale jeśli nie dać im krwi, wówczas nie śpią i walczą.*”

Polityk zaś – jeśli nie chce pozostać jedynie kawiarnianym, słowolejskim mędrkiem – musi działać skutecznie. A jedynym gwarantem skutecznego działania jest przemoc: „*Sprawiedliwa, lecz nieubłagana surowość stanowi najważniejszy czynnik siły dla państwa, nie tylko dla zysku, lecz również, w imię obowiązku, dla zwycięstwa przyszłego, musimy być wierni programowi gwałtu i obłudy. Zasada wyrachowania jest o tyle silna, o ile [silne są] środki, których używa. [...] Dzięki doktrynie bezwzględności osiągniemy triumf...*”

Konstytucja nie stanowi poważniejszej zapory w instalowaniu tego aparatu przemocy: „*Współczesna waga konstytucyjna wkrótce runie, bowiem ustawiliśmy ją nie-dokładnie, by nie przestała chwiać się, dopóki nie przetrze się jej podstawa.[...]*” Do sprawowania przemocy potrzebna jest natomiast rzesza jej realizatorów, wykonawców

- i beneficjentów, słowem - nowej „elity”: *„Triumf nasz stał się tym łatwiejszy, że w stosunkach z ludźmi, niezbędnymi dla nas, oddziaływaliśmy zawsze na najczulsze strony ludzkiego jestestwa, na chciwość, na wieczyście niezaspokojone potrzeby materialne. Każda z wymienionych słabości ludzkich, wzięta oddzielnie, zdolna jest zabić wszelką inicjatywę, oddając wolę ludzi do dyspozycji nabywcy ich działalności.”*

Kolejny, drugi rozdział tej śmiałej, reformatorskiej, instrukcji dotyczy już konkretnych, sprecyzowanych środków i sposobów realizowania tych zdobywczych zamiarów. Pierwszym jego punktem jest oczywiście prasa. *„Rola prasy polega na zaznaczaniu żądań niezbędnych, na komunikowaniu skarg narodu, na wyrażaniu, a nawet tworzeniu niezadowolenia. Prasa jest ucieleśnieniem wolności mówienia. [...] i oto znalazła się ona w naszym ręku. Przez nią zdobyliśmy wpływ, pozostając na uboczu i w cieniu, dzięki niej zgromadziliśmy w posiadaniu naszym złoto, nie bacząc na to, że zmuszeni byliśmy wylawiać je ze strumienia krwi i łez.”*

Reformie prasy poświęcone są następne rozdziały tego fascynującego manifestu. Zawarte w nich dyrektywy wywiedziono z poniższego założenia: *„Przy obecnym stanie nauki i przy stworzonym przez nas jej kierunku, lud wierzy ślepo drukowanemu słowu, żywi, wskutek nieświadomości swej i podsuniętych mu pojęć, błędnych, nienawiść do wszystkich stanów, które uważa za wyższe, bowiem nie rozumie znaczenia każdego stanu. [...] Kiedy lud spostrzegł, że w imię wolności czynione są wszelkie ustępstwa i ulgi, wyobraził sobie, że jest władcą i rzucił się do władzy, lecz, rzecz prosta, jak każdy ślepiec, natrafił na masę przeszkód. Wówczas gorączkowo zaczął szukać przewodnika [...] i złożył pełnomocnictwa u naszych stóp. [...] Stworzymy wzmocnioną centralizację władzy, by ująć w ręce wszelkie siły społeczne. Uregulujemy mechanicznie przy pomocy praw nowych wszystkie czynności naszych poddanych w życiu politycznym.”*

I tu następuje seria konkretnych posunięć podejmowanych dla osiągnięcia tego szczytnego celu, poczynając od stosownego przysposobienia mówców i propagatorów, *„których zadaniem będzie mówić tyle, by doprowadziło to ludzi do przemęczenia wskutek nadmiaru krasomówstwa, do wstrętu do mówców.”*

Erupcje słowne propagandystów nie są więc wcale ich samoistnym wybrykiem! Ale nie traćmy z oczu zaleceń dotyczących prasy - *„wielkiego mocarstwa»* pozostającego z małymi wyjątkami, z którymi liczyć się nie warto - całkowicie w naszych rękach.[...] Osiodłamy ją i weźmiemy mocno w cugle. [...] Przekształcimy ów kosztowny obecnie z uwagi na konieczność cenzurowania - wytwór jawności w źródło dochodów naszego państwa: obciążymy wydawnictwa specjalnym podatkiem [...] oraz składaniem kaucji przy organizowaniu organów prasy lub drukarni, co zabezpieczy nasz rząd od wszelkich napaści ze strony prasy. Za ewentualną napaść będziemy karali bezwzględnie.”

Ale instrukcja zaleca także manewry zakodowane; zaleca się *„zwrócenie uwagi”* na to, że *„między napadającymi na nas będą i przez nas stworzone organy, lecz te będą występowały jedynie przeciwko punktom, których zmianę postanowimy. [...] Odnosnie do prasy - to obciążymy ją zarówno, jak i wszelkie druki, podatkiem [...] od arkusza, oraz kaucjami.”*

W tym kontekście rozwinięto całą strategię działań długofalowych, opartą na przeświadczeniu, że *„Literatura i dziennikarstwo są to dwa najważniejsze czynniki wychowawcze, dlatego też rząd nasz będzie właścicielem większości dzienników. Scentralizuje to wpływ szkodliwy prasy prywatnej, a zarazem stworzy olbrzymi wpływ na umysły. Jeśli wydamy pozwolenia na 10 dzienników, to sami stworzymy 30 i będziemy stale utrzymywali stosunek ten. Ogół nie powinien domyślać się tego, wydawane więc przez nas dzienniki będą z pozoru krańcowo przeciwnych kierunków i zdań. [...] Na planie pierwszym będą stały organy o charakterze ściśle urzędowym. Te będą pilnowały zawsze naszych interesów, toteż wpływ będą posiadały bardzo nikiy. Na drugim planie umieścimy pólurzędówki, których zadaniem będzie nęcenie obojętnych. Trzeci plan zajmie nasza, rzekomo, opozycja, w której bodajby jeden z organów będzie stanowił antypody*

nasze. Przeciwnicy nasi będą uważali ową, rzekomą, opozycję za zwolenników swoich i otworzą przed nami karty. Głupcy, którzy będą myśleli, że powtarzają zdanie dziennika, reprezentującego ich obóz, powtarzać będą nasze myśli [...] wyobrażając sobie, że kroczą za organem partii swojej, będą szli za sztandarem, który my im wywiesimy.”

Ten akurat element strategii prasowej PRL-u wydał mi się znajomy, nie umiem tylko rozstrzygnąć dylematu: czy był oryginalnym pomysłem ówczesnych strategów prasowych, czy też korzystano z tego samego źródła inspiracji, które zacytowałem powyżej.

Z kolei przypatrzmy się projektowanym manewrom zmierzającym do zdławienia wolnego ruchu wydawniczego, zawartym w omawianym dziełku. W tej dziedzinie podsuwa ów podręcznik koncepty z zakresu iście szatańskiej szarlatanerii: „*Książki, liczące mniej niż trzydzieści arkuszy, będą płaciły podatek zdwojony. Zaliczymy je do kategorii broszur, żeby z jednej strony zmniejszyć liczbę wydawnictw periodycznych, stanowiących najskuteczniejszą truciznę drukowaną, z drugiej zaś środek ten zmusi literatów do pisania książek tak obszernych, że nikt ich nie będzie czytał, zwłaszcza wobec ich drożyzny. [...] Podatki położą kres lichym popędem literackim, system zaś kar wytworzy zależność literatów od nas. Gdyby nawet znaleźli się chętni do pisania przeciwko nam, to jednak nie znajdą wydawców, którzy podjęli by się drukowania. Przed przyjęciem do druku jakiegokolwiek dzieła wydawca albo drukarz będzie musiał wyjednać od władz pozwolenie. W ten sposób zawczasu poznamy knowania, skierowane przeciwko nam i zanulujemy je, ogłaszając wcześniej wyjaśnienia na ten sam temat.”*

Dość już jednak przytaczania tych wytworów nikczemności.

I pomyśleć, że wtedy, kiedy się ta edycja, opatrzona kompetentnym komentarzem wybitnego uczonego pojawiła na naszym rynku księgarskim, nie wzbudziła szerszego zainteresowania: wertowali ją głównie badacze najbardziej obrzydliwych dokumentów umysłowego upodlenia. I nikomu nie kojarzył się ten dokument z niczym doświadczanym w powszednim życiu.

Janusz TAZBIR, *Protokoły Mędrców Syjonu. Autentyk czy fałszykat*, Wydawnictwo Interlibro, Warszawa 1992, s. 263 nlb. 1.

RES
tam
była

Quo vadis prokuratura?

Dokończenie ze s. 5

ratury w ręku jednego człowieka piastującego funkcję ministra sprawiedliwości, lidera radykalnej partii politycznej i posła na Sejm, co ma znamiona kuriozalne.

I to właśnie bolesne doświadczenie, któremu poddana jest dziś polska prokuratura, przeniękało wystąpienia w tej debacie. Debacie wypełnionej troską o niezależność i godność prokuratury i prokuratorów, o uwolnienie jej z poczucia niepewności, a nawet strachu, przed wysoce osobliwymi decyzjami swych obecnych zwierzchników.

Nad drogami wyjścia z obecnej sytuacji zastanawiano się w drugiej części debaty, kiedy mówiono o „wyzwaniach procesowych” i możliwych lub koniecznych środkach naprawczych tej sytuacji. Dobitnie zabrzmiały one w wystąpieniach sędziego Stanisława ZABŁOCKIEGO, piastującego godność prezesa Izby Karnej Sądu Najwyższego, poszukującego odpowiedzi na pytanie „Śledczy czy oskarżyciel? Koncepcja roli prokuratora w postępowaniu karnym” oraz prof. Piotra KARDASA z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który tak zatytułował swoje wystąpienie: „Sędzia śledczy: anachronizm czy konieczność?” – i było to pytanie o fundamentalnym znaczeniu w warunkach w jakich działa dziś polska prokuratura.

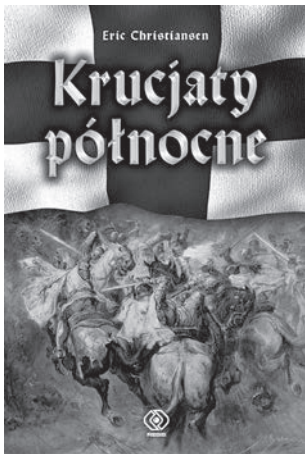
Uczestniczyliśmy w spotkaniu o ujmujących walorach naukowych, płynących z rozległych kompetencji referentów, ale też z obywatelskiej troski o ocalenie polskiej demokracji poddanej dziś tak wielkiej próbie. To wartości nieocenione, kiedy myślimy o czasie, który przed nami.

Andrzej BIERNACKI

KSIĄŻKI Z RÓŻNYCH PÓŁEK

Eric CHRISTIANSEN —

Krucjaty północne, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 2016, s. 368.



Wyprawy krzyżowe nad Bałtykiem

Papieskie wezwania do świętej wojny padały na żyzny grunt nie tylko wśród śródziemnomorskiego i anglosaskiego rycerstwa oraz możnowładców w Średniowiecznej Europie. I nie były one skierowane tylko przeciw wyznawcom islamu w Ziemi Świętej czy Hiszpanii. Władcy podzielonych na setki jednostek administracyjnych i zależnych wasalnie od cesarzy księstw w Niemczech ochoczo zaciągali się w szeregi Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie – czyli tzw. Krzyżaków – bądź przybywali na tereny podległy ich jurysdykcji jako najemnicy, aby walczyć w imieniu Krzyża i Chrystusa z pogańskimi Prusami, Estami, Finami, Karelami, Litwinami, Żmudzinami czy Łatgalami albo ze „schizmatycznymi Grekami” – jak nazywano ruskich mieszkańców Wielkiego Księstwa Nowogrodzkiego. Walczyli, a niekiedy – kolonizowali tereny nad Bałtykiem, tworząc zupełnie nowe społeczności, kulturowo i cywilizacyjnie obce temu co do tej pory na tych obszarach wytworzyli autochtoni. Nie tylko Niemcy ale także rycerstwo z terenów współczesnej Francji, Szwajcarii czy Niderlandów, ze Szwecji i Danii, a nawet – Anglii (angiel-

ski król Henryk IV Lancaster od 1399 r. jeszcze jako Henryk z Bolingbroke, hrabia Derby – zaciągnął się w szeregi Krzyżaków, jako krzyżowiec i walczył tak jak jego 400 rodaków przeciwko Litwie). Szczególnie aktywnym inspiratorem i animatorem tych wypraw był papież Grzegorz IX (1221–1247).

Ogromne, puste przestrzenie Europy Wschodniej, na dodatek słabo zaludnione – choć trudne do kolonizacji z różnych, przeważnie geograficzno-przyrodniczych względów – terytoria, zostały wciągnięte w strefę wpływów zachodniego, rzymskiego chrześcijaństwa niszcząc tym samym społeczeństwa miejscowe, ich dotychczasową tożsamość i wartości jakim hołdowały. Najbardziej dramatycznie ów proces dotknął Prusów i Jadrzyngów, zamieszkujących tereny między Dolną Wisłą, a Niemnem (dzisiejsza Warmia i Mazury). Po prostu uległy one absolutnemu wyniszczeniu i cywilizacyjno-kulturowej dewastacji. Analogie z Ameryką czy Australią i losom tamtejszych autochtonów nasuwają się same. I wszystko w cieniu krzyża, doktryny Rzymu i religijnego uzasadnienia misji szerzenia nowej, jedynie słusznej, wiary.

Inne zbiorowości – Żmudzini, Litwini, Łatgalowie, Estowie czy Finowie – wkomponowały się czy raczej; przymuszono ich do wkomponowania się ulegając westernizacji (jakbyśmy dziś powiedzieli) w feudalne społeczeństwo chrześcijańskiej Europy Zachodniej, w jej gospodarce (stając się na wieki terenami kolonialnego zaplecza surowcowego i nieprzetworzonych płodów rolnych dla Zachodu), kulturę (choćby przez sposób budownictwa sakralnego. Tylko Wielkie Księstwo Nowogrodzkie potrafiło – z racji swej organizacji wewnętrznej, silnej, zcentralizowanej władzy, religii stanowiącej przeciwagę dla ideologii i doktryny Rzymu oraz dzięki swej potędze militarnej (a także dalekosiężnym sojuszom) oprzeć się naporowi rycerstwa – i kolonistów – z zachodu Europy.

Echa tego starcia, na północno-wschodnich rubieżach Europy, chrześcijaństwa wg obediencji rzymskiej z chrześcijaństwem bizantyjsko-wschodnim odczuwamy do dziś.

W Polsce napór krzyżacki jest zakodowany w świadomości społecznej jako „*odwieczne starcie polskości z germańskim naporem*” i stanowi paradygmat znaczej części narodowej mitologii. Nie do końca ma to odzwierciedlenie w historycznych faktach. Poza tym ów mit czy legendy z nim związane wykorzystywane są też co rusz przez polityków różnych opcji dla szerzenia określonych fobii, przypominania narosłych uprzedzeń i fantazmatów zalegających nasze zakamarki podświadomości. Między innymi dlatego, że pojęcie „*krucjat północnych*” jest absolutnie obce polskiej historiografii. Tzw. „*krucjaty północne*” (zwane z niemiecka „*rejmami*”) nie zaistniały w historycznej świadomości tak jak np. hiszpańska *recoquista* czy cały, masowy ruch zwany Wyprawami Krzyżowymi trwający przez wieki a kierujący się rejon Bliskiego Wschodu.

Dlatego książka, duńskiego historyka, wykładowcy akademickiego z Oxfordu, Kopenhagi, Miami i Londynu jest tak cenna. Bo to jest spojrzenie, chłodnym, beznamietnym okiem obserwatora stojącego jakby „z boku” owych konfliktów, nie zaangażowanego emocjonalnie bądź narodowo i nie mającego „*ukąszenia*” antyniemieckiego.

Bo trzeba wiedzieć, iż te wyprawy i to wszystko co one sobą niosły nie wiązało się wyłącznie z niemieckim (jak to się u nas powszechnie uważa) „*Drang nach Osten*”. To była polityka i cywilizacyjna ofensywa związana również z szerzeniem chrześcijaństwa, połączona propagandowo z prowadzoną przez papieństwo i Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego polityką oraz interesami możnowładztwa zachodnio-europejskiego. Niestety, my, Polacy także kilkaset lat później rozpoczęliśmy podobny marsz na Wschód, uprawiany z podobnym skutkiem i metodami na tych terenach, które po 1569 roku zostały włączone do Korony kosztem Litwy.

Bo krucjaty krzyżowe nie są przyporządkowane jakiejś jednej, wybranej nacji. Są one immanencją istoty chrześcijaństwa i „*duchem epoki*”. To pomysł leżący u źródeł ideologii ówczesnego Rzymu i papieństwa, realizowany oczywiście za pomocą władzy świeckiej i odpowiednio sprowokowanej narracji, czyli współcześnie jakbyśmy powiedzieli – propagandy, szerzonej w świątyniach czy przez wędrownych – a cieszących się uznaniem i mirem ludu – kaznodziejów (to byli tacy współcześni celebryci medialni na miarę ówczesnego poziomu techniki oraz komunikacji społecznej). Tak się złożyło w historii, iż opisywane przez Christiansena wydarzenia sprzed ponad 800 laty i zakonotowane w polskiej zbiorowej świadomości jako kolejne na przestrzeni dziejów starcie polsko-niemieckie jest bardziej skomplikowanym zjawiskiem niż to się powszechnie wydaje. Zwłaszcza, że początkowo polscy feudałowie z Mazowsza, Kujaw, Wielkopolski czy Pomorza wspólnie z Krzyżakami „*brali krzyż*” i w imię Chrystusa uczestniczyli w wyprawach przeciwko pogańskim sąsiadom znad Bałtyku.

Tak było do bitwy pod Grunwaldem. Potem następuje schyłek: tak samej idei zakonu rycerskiego jak i idei krucjaty. Dodatkowym czynnikiem erodującym władzę rycerzy w białych płaszczach z czarnym krzyżem stały się rozbieżne interesy grup wychodzącego z feudalizmu społeczeństwa Prus. W 1454 mieszczanie, wasale i poddani Wielkiego Mistrza (teraz zarządzającego Prusami z Królewca) chwytają za broń przeciw swemu suwerenowi, prosząc jednocześnie o wsparcie króla polskiego. Władza Wielkiego Mistrza w wyniku wielopłaszczyznowych zjawisk historycznych, procesów społecznych i określonej sytuacji dziejowej na długo przed historyczną sekularyzacją Prus przez Albrechta Hohenzollerna (1525) uległa zeświecczeniu i odeszła od pierwotnych zasad życia oraz zadań polityczno-doktrynalnych rycerzy-mnichów.

Historia Zakonu Krzyżackiego jest znaczącą i nieusuwalną częścią historii Polski. Warto jest więc zapoznać się z tym znaczącym epizodem naszych dziejów, pozostającym nader często w sferze fantazmatów nadwiślańskiej świadomości, ale widzianym z pozycji indyferentnego cudzoziemca.

Radosław S. CZARNECKI

ŚWIADECTWO PAMIĘCI | Jednostkowa biografia w najnowszej historii Polski

Odszedł mój przyjaciel. Jeden z ostatnich, który przechowywał personalną tradycję WICI: Edward SZPYTMA. Dla mnie historią stało się już niemal dokładnie 90 lat egzystencji przyjacielskiej osoby oraz Związku Młodzieży Wiejskiej WICI, którego był członkiem. Był organizatorem działalności artystycznej. Łączę te wydarzenia, bo są moją wewnętrzną biografią.

Edward urodził się w Markowej w roku 1927. Wydarzenie, jakich miliony budowały historię Polski. Edek był tworzony i tworzył. Należał do nielicznych, dla których wieś rodzinna była nie tylko miejscem urodzenia, lecz przede wszystkim pamięcią, w której przechowywał rodzinne i rodowe wartości. Poszedł drogą tradycji Stanisława Pigonia, z sąsiedniego regionu, wybitnego uczonego, który pozostawił intelektualne świadectwo swego pochodzenia w książce *Z Komboni w świat*. W czasie emerytalnym Edward wybrał dla siebie zainteresowania godne najwyższego uznania. Badał w swoim czasie studenckim powojenne losy swojej wsi, w której świetle jednostki oraz spółdzielcze instytucje dokonały rewolucji cywilizacyjnej. Pozostawił publikację „Tak mówiła dawna Markowa”, jako fragment kultury ludowej oraz „Moje wspomnienia o Zydch z Markowy”, jako świadectwo pluralistycznego współżycia różnych ludzi.

Po wojnie, najszybciej jak to było możliwe, znalazł się w wybitnym liceum w Łąncucie. Miał szczęście do programu i grona nauczycielskiego z dobrymi tradycjami przeniesionymi także ze Lwowa przy zmianach w Polsce. Nic nie zdołało zatrzymać jego pochodzenia ku wielkim celom studialnym na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wiele lat przebywał w środowiskach uczelni wyższych, by potem jako wykształcony magister znaleźć miejsce pracy jako dyrektor wielu zakładów pierwszej wagi, w tym takich, które tworzyły Nową Hutę. Był więc w nurcie przedwojennej tradycji Okręgu Przemysłowego i tworzonego przez Eugeniusza Kwiatkowskiego. Nie ginęły więc idee postępu Polski ku europejskiej nowoczesności. Edward Szpytma był ich kontynuatorem na szczeblach różnej wysokości.

Jako wybitny ekonomista-praktyk reprezentował racjonalne a nie doktrynalne nastawienie do życia gospodarczego. W licznych rozmowach wykazywał daleko idący krytycyzm biurokratycznego, centralistycznego etatyzmu. W kierowaniu instytucjami gospodarczymi robił nie zawsze to, co musiał z nakazu, lecz to, co uważał za mądre w praktyce. Jako dyrektor kilku zjednoczeń gospodarczych w Krakowie dał świadectwo, że nawet tam, gdzie były złe nakazy systemowe, robił rzeczy dobre, co jednak mu uznania i szacunek. Zawsze było tak, że doktrynalni nadgorliwcy wyrażali najwięcej szkód. Rozsądni dyrektorzy łagodzili największe głupstwa.

Gdy Edward znalazł się na emeryturze, nie zajął postawy rozgoryczonego samotnika. Kontynuował aktywność społeczną w stowarzyszeniu „Kuźnica”. Był członkiem Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Nie wisiał na ekranie telewizyjnym. Był obecny wszędzie tam, gdzie działy się w kulturze rzeczy ważne i ciekawe. Co roku wraz z żoną Zofią wyjeżdżali do Łąncuta na słynne festiwale Bogusława Kaczyńskiego. Uczestniczyli w imprezach festiwalu Kultury Żydowskiej na Kazimierzu. Był obecny na uroczystościach przyjaciół i znajomych takich osobistości jak Józef Klasa czy Marian Konieczny. Co roku latem bywał w Krakowie na zaproszenie Szpytmów. Dzięki nim np. zwiedziłem podziemny rynek krakowski, który stał się nowością kulturalno-turystyczną.

Gdy podsumujemy życie Edwarda Szpytmy, a więc interesowanie się życiem wsi rodzinnej do końca życia, naukę w liceum w Łąncucie, studia w Krakowie, aktywne uczestnictwo w życiu kulturalnym na emeryturze, otrzymamy unikalne wydanie jednostkowej biografii w nowej Polsce. Taki dałem tytuł tego wspomnienia.

Józef TEJCHMA

Edward SZPYTMA (ur. w roku 1927) zmarł 23 kwietnia 2018 roku. Pożegnany 27 kwietnia 2018 roku na Cmentarzu Batowickim w Krakowie.

Zdzisław CACKOWSKI: pamięci Jego życia i dzieła

Był Zdzisław CACKOWSKI od samego początku „RES HUMANA” do końca swych dni jednym z jej najważniejszych Autorów; był członkiem zespołu i rady redakcyjnej, a więc współtworzył myśl programową czasopisma. I był po prostu naszym najbliższym Przyjacielem. Pozostawił nam skarb bezcenny: głębokie przekonanie o wartości świeckiego humanizmu, otwartego na racje odmienne, ceniącego drogę dialogu i porozumienia pomiędzy ludźmi w kształtowaniu ludzkiego świata w jego godności, wolności i moralnym ładzie. Wiemy, że to niełatwe przesłanie, kiedy patrzymy, niejednokrotnie z trwogą, na współczesny świat i ludzki los.

Z tym większym przekonaniem wspominamy Zdzisława CACKOWSKIEGO i dajemy temu skromne świadectwo w postaci tekstów, które drukujemy poniżej, dziękując serdecznie profesorowi Markowi Hetmańskiemu za trud i serce okazane inicjatywie naszej wspólnej o Profesorze pamięci.

Redakcja „RES HUMANA”

Wstęp

26 czerwca 2017 r. na Wydziale Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie odbyło się sympozjum zatytułowane *Kategorie ludzkiego doświadczenia, poznania i działania* poświęcone filozofii Profesora Zdzisława CACKOWSKIEGO. Zostało zorganizowane dla uczczenia pierwszej rocznicy Jego śmierci oraz podsumowania długoletniej pracy naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej w Uniwersytecie. Zdzisław Cackowski był związany z UMCS od 1955 roku, kiedy po studiach w Moskwie przybył do Lublina i rozpoczął pracę jako asystent, adiunkt a następnie profesor, wieńcząc ponadpółwieczną aktywność akademicką funkcją rektora UMCS piastowaną w latach 1987-1990. Rozległy dorobek naukowy w takich dziedzinach filozofii jak epistemologia, ontologia, aksjologia i antropologia filozoficzna znalazł wyraz w szesnastu monografiach, wielu skryptach oraz ponad trzech setkach artykułów, także w erudycyjnych i żywych wykładach akademickich czy wystąpieniach konferencyjnych – prowadzonych w pięknej mowie i zawsze otwartych na słuchaczy. Te właśnie walory dorobku i aktywności akademickiej podkreślali wszyscy zebrani, wspominając swoje kontakty z Profesorem i Jego dorobkiem.



Symposium zgromadziło, poza władzami uczelni i wydziału oraz studentami, wielu Jego przyjaciół, uczniów i współpracowników; obecna była również rodzina Profesora – córka i siostra. Wygłoszono 12 referatów, w których przedstawiono specyfikę Jego zagadnień i problemów filozoficznych oraz ich powiązanie z aktywnością dydaktyczną.

Z inicjatywy czasopisma „RES HUMANA”, i uwzględniając sugestie redakcji, dokonałem wyboru kilku tekstów przedstawionych na sympozjum w przekonaniu, że mogą być dobrym świadectwem naszej pamięci o życiu i dziele Profesora Zdzisława Cackowskiego.

Marek HETMAŃSKI

Paweł BYTNIEWSKI

Myślenie jako działanie: filozofia Zdzisława Cackowskiego

Czego nauczyłem się od profesora Cackowskiego?

Że najtrudniej być odważnym wobec swoich, że odpowiedzialność to branie na siebie negatywnych skutków działań, i że odpowiada się nie tylko za siebie, ale za innych w stopniu określonym przez współuczestnictwo w tym, za co się odpowiada, że słuszny autorytet jest zawsze ograniczony i nie może być autorytetem bez zaufania. To nauczyło mnie, że w sprawach moralnych należy brać stronę słabszych i nigdy swoich bliźnich nie stawiać w sytuacjach bezalternatywnych. W kwestiach poznawczych nauczyłem się tego, że nie liczą się szkoły, ale problemy. Nakaz ten zrozumiałem i rozumiem go dziś jako formułę współmyślenia, która pozwala dostrzegać tę wspólnotę w problemach i zarazem pozwala szukać osobności w poszukiwaniach dróg ich rozwiązań.

Związek między działaniem a poznaniem to temat filozoficzny, który podjęto już w czasach antycznych. W poznaniu jako pewnej postaci praktyki Arystoteles upatrywał najistotniejszej postaci ludzkiej aktywności. W gruncie rzeczy korelacja działania i poznania, dziedzina podejmowanych przez istoty ludzkie praktyk, wyznacza pole problematyzowania antropologii filozoficznej i tak jest także w przypadku filozofii Zdzisława Cackowskiego. Nie znaczy to wcale, że idzie on tym samym tropem co Arystoteles. Przeciwnie. Daleki jest od gloryfikowania aktywności poznawczej i w ogóle intelektualnej jako postaci samospełnienia istoty człowieka. Cackowski określał sam siebie jako marksistę, co w jego pojęciu implikuje materializm, obiektywizm, dialektykę, ale także antyidealizm motywowany nie tylko poznawczo, ale też moralnie. Pisał:

„Idealizm – to postawa mentorska wobec życia. Jest on refleksem świadomości, która nie zna i nie uznaje swego przedmiotowego, ziemskiego źródła i swej przedmiotowej historii. Jest on złudzeniem myśli, która sądzi, że nie ma pozamyślowego źródła i pozamyślowego przedmiotu. Idealizm ujmuje myśl jako kwiat, nie dostrzegając korzeni, a niekiedy także drzewa. Myśl jest wedle idealizmu nauczycielką życia, sama jednak życiu niczego nie zawdzięcza”.

Logiczna rekonstrukcja podmiotu działania i podmiotu poznania. Oto cel jaki sobie postawił. Podmiot to układ materialny, i jako taki charakteryzuje się pewną bezwładnością, opornością a także złożonością; tak samo, jak otoczenie, do którego należy. Jest on – wbrew zapewnieniom filozofii *Cogito* – układem podlegającym prawidłowościom swego materialnego środowiska. Poznanie tego układu może i powinno być poznaniem obiektywnym, tj. nie powinno ulegać złudzeniom, jakich siedliskiem jest subiektywność *Cogito* i powinno się odwoływać do wiedzy – metodologicznie niepodzielnej – jaką możemy mieć o tym układzie. „Duch praktycznego funkcjonalizmu” – tak określa intencje swych dociekań Cackowski.¹

Zadanie filozofii zatem polega na rekonstrukcji korelacji aktywności życiowej i poznawczej w różnych pasmach i kanałach, oddziaływań mocnych i słabych, a więc tych, które mają sens ży-

¹ Z. Cackowski, *Człowiek jako podmiot działania praktycznego i poznawczego*. Warszawa, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, 1979 s. 344.

ciowy i tych, które niosąc informację, mają sens regulacyjny. Dla Cackowskiego kluczem do zrozumienia tej korelacji jest działanie, nie zaś poznanie. Poznanie to – zaledwie i aż – pewien szczególny rodzaj pokonywania oporu materialnej przedmiotowości i pewien sposób radzenia sobie z opornością tam, gdzie ujawnia się ona jako właściwość przedmiotu, ale także tam, gdzie opór ujawnia się jako własność podmiotu. Cackowski był krytykiem epistemocentryzmu inspirowanym się rozumieniem podmiotu ludzkiego, którego pierwotną aktywnością jest działanie, nie poznanie.

Czym zatem jest działanie, jeśli ma być ono tłumaczone nie przez myślową aktywność ludzką, jeśli odwrotnie, to działanie ma tłumaczyć myślenie i poznanie, także nie-ludzkie?

Należy przede wszystkim odróżnić działanie od oddziaływania. Działanie jest formą aktywności, jaka przysługuje tylko układom posiadającym podmiotowość. Cechą prymarną tej aktywności jest to, że zmienia ona jakiś układ materialny różny od tego, który działanie inicjuje, który jest przez to właśnie podmiotem, że zachowuje asymetrię oddziaływań. Podmiot działa, gdy nie przyjmuje oddziaływań ze strony przedmiotu działania lub przyjmuje ich niewspółmiernie mało. Podmiot chroni się przed pełną wzajemnością oddziaływań – i to jest właśnie podstawowy rys jego podmiotowej aktywności. Współrzędność oddziaływań zakłóca charakter relacji podmiotowo-przedmiotowej, przekształca podmiot w przedmiot. Podmiotowość to podtrzymywanie asymetrii oddziaływań dwóch układów materialnych.

To jednak nie wystarcza, by określić działanie i podmiot. Podmiot bowiem, by tak właśnie, to jest asymetrycznie, oddziaływać na przedmiot, musi dysponować własną energią i w dodatku musi wydatkować ją w sposób zorganizowany. To ostatnie odnosi się do relacji łączącej podmiot i przedmiot tak, że określa autonomię podmiotu względem przedmiotowego środowiska. Sterowanie – koordynacja aktywności wielości, która jest podmiotem wobec wielości jeszcze bardziej zróżnicowanej stanowiącej środowisko bytowania podmiotu – oto układ określający dynamikę relacji podmiot–przedmiot.

Wszakże dynamika tego rodzaju ma swój kierunek i można powiedzieć – gdy rozumiemy ją jako dynamikę, w którą zaangażowane są ludzkie podmioty – że ma swą historię. Zależy ona od zdolności poszerzania granic działania: „Tego typu działanie i tego typu podmiot działania realizują się tym pełniej, w im szerszym zakresie nad zmiennością warunków zewnętrznych podmiot panuje za pośrednictwem zewnętrznych przedmiotów, za pośrednictwem energii i substancji zewnętrznych przedmiotów.”² Pośredniość działania – oto konieczny warunek jego historyczności, wyższego stopnia rozwoju podmiotowości.

Poszerzanie się kręgu działania narzuca aktywności praktycznej złożoność, która stawia tej aktywności pewien wymóg – to wymóg odzwierciedlenia relacji między podmiotem a środowiskiem w sposób, który pozwala regulować relacje między nimi. Przesłanką poznawczą tej regulacji jest redukcja różnorodności oddziaływań przez rolę, jaką w tym złożonym układzie pełnić może informacja. Jej nośnikami są oddziaływania słabe. Ich źródłem zaś jest przedmiotowy świat, tak samo jak oddziaływań mocnych. Cechą oddziaływań słabych jest niski poziom przenoszonej przez nie energii i wysoki poziom informacji. Reprezentują one świat, regulują aktywność podmiotu, a czynią to tak, że operacje, w których uczestniczą, zastępują operacje na samych przedmiotach. Oddziaływania mocne zaś to te, które przenoszą relatywnie znaczne porcje energii – są przyjmowane przez podmiot i przez niego wydatkowane.

Podsumuję ten fragment rekonstrukcji wyводу Cackowskiego tak oto: działanie to praxis, podtrzymuje ono bowiem samo działanie, przedłuża je w świat przedmiotowy i wzmaga jego możliwości. Działanie to *praxis* także dlatego, że wzmaga a ujawnia byt działającego.

W każdym razie, jak z tego widać, działanie i podmiot to terminy współokreślające się. Jakie jest tu miejsce poznania? A przede wszystkim, jak ono może być rozumiane jako działanie?

Przede wszystkim, co do swej istoty, poznanie ma charakter asymetryczny w taki sam sposób, jak działanie przedmiotowe. Jest działaniem a nie oddziaływaniem. Jest aktywnością, która słabo oddziaływanie przedmiotowe przekształca w reprezentację i w ten sposób tworzy przedmiot

² Tamże, s. 36.

poznania. Poznanie może odzwierciedlać przedmiot realny tylko tak, że swą aktywnością słabe oddziaływania przekształca w przedmiot poznania.

Nie trzeba długo rozwozić się nad pośredniością poznania. Poznawcze poszerzanie świata, dziś tak znaczące dla życia społecznego i wszędzie w nim obecne, zyskujemy dzięki zasobom jego narzędzi-pośredników – znakowych, technologicznych i społecznych. **Poznanie, tak samo jak działanie, ma swą własną dynamikę – psychiczną i historyczną. Podąża ono za ruchem praxis i w ten sposób uczestniczy w życiu jako efektywny regulator relacji podmiotu z jego środowiskiem.**

A jak w tej perspektywie lokuje się podmiotowość Innego, alter-ego?

Podmiot działa, gdy nie przyjmuje oddziaływań. Lecz czy to właśnie określenie dotyczy także działań innego podmiotu? Czy dla innego podmiotu jestem przedmiotem tak, jak inne przedmioty są dla niego, a Inny dla mnie jest takim samym przedmiotem, ja te, na które działam? Czy dla Innego, jako podmiotu, moje własne działanie na niego, może być czymś innym niż tylko oddziaływaniem? Czy współbywanie podmiotów polega na pozbawianiu się podmiotowości? Czy rację miał Sartre, że piekło to inni? Czy myśl Cackowskiego osiągnęła ten sam zaulek paradoksów, w jakim znalazła się myśl E. Husserla, gdy analizował relacje *ego* – *alter-ego*? Można mnożyć tego rodzaju pytania, lecz gdy dotyczą one człowieka, który jest Autorem trzeba postawić je inaczej:

Czy Cackowski ma 100% racji, gdy tak pojmuje podmiotowość?

W anegdocie, którą Profesor Cackowski przytacza w swej książce możemy przeczytać taki oto passus: „Jeśli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelnych 55% racji, to bardzo dobrze, i nie ma co się szarpać. A kto ma 60% racji? To ślicznie, to wielkie szczęście, i niech Panu Bogu dziękuje. A co by powiedzieć o 75% racji? Mądrzy ludzie powiadają, że jest to bardzo podejrzane. No, a co o 100%? Taki, co mówi, że ma sto procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy tajdak.”

Na pewno Cackowski nie zgodziłby się na konkluzję jego analiz podmiotowości, która prowadziła go w stronę jakiejś podmiotowej monadologii. Ja jednak powiem: „Nic nie ukrywa bardziej wspólnego problemu niż dwa pokrewne sposoby podchodzenia do niego”. Ale to właśnie praktyka, którą z taką pasją analizował narzuciła jemu samemu, jak mało komu z nas, pytania o relacje, w jakie jesteśmy uwikłani jako podmioty z innymi podmiotami.

Wówczas pytania o podmiot działania i poznania ustąpiły pytaniom innej antropologii Cackowskiego. W niej to właśnie możemy odnaleźć myśl „ostatniego Cackowskiego” i tam relacje „ja-inny” uzyskują pierwszeństwo.

Dr hab. Paweł Bytniewski, filozof, pracuje na Wydziale Filozofii i Socjologii UMCS, doktorat obroniony u prof. Zdzisława Cackowskiego w roku 1987.

Marek HETMAŃSKI

Zdzisława Cackowskiego teoria poznania, wiedzy i działania

Dorobek filozoficzny Zdzisława Cackowskiego w swojej rozległości i wielopropozycyjności ma jeden wątek wiodący – jest nim teoria poznania i działania. Inne z problemów, którymi się zajmował – ontologiczne, antropologiczne, aksjologiczne i społeczne – albo wyrastały z teoriopoznawczej refleksji, albo nawiązywały do niej. Teoria poznania, rzadziej określana przez jej Autora epistemologią czy gnozeologią, jest główną dyscypliną filozofii, której poświęcał najwięcej uwagi i w której też osiągał najbardziej interesujące i znaczące wyniki. W czym leży specyfika i oryginalność teoriopoznawczych poglądów Zdzisława Cackowskiego?

W swoim najobszerniejszym dziele, które można uznać za *opus magnum*, zatytułowanym *Człowiek jako podmiot działania praktycznego i poznawczego* z 1979 roku pisze: „Przedmiotem teorii poznania jest proces poznania, jego konieczne i wystarczające warunki, jego przebieg oraz wyniki wraz z ich zastosowaniem. Sam zaś proces poznania jest pewnego rodzaju działalnością, której swoistość teoria poznania chce zrozumieć. (...) Teoria poznania musi więc zrozumieć ten rzeczywisty, pełny podmiot poznawczej działalności; musi ona określić podmiot działalności poznawczej jako aspekt tylko całościowej struktury żywego podmiotu”. **A zatem – poznanie i działanie, pomiędzy nimi zaś wiedza i wszelkie postacie i formy ludzkiego doświadczenia, dokładniej, doświadczania świata – są głównymi kategoriami jego filozofii. Procesualne i czynnościowe ujęcie aktywności poznawczej człowieka stanowi o istocie tego stanowiska; poznawanie jest najważniejszym aspektem ludzkiej aktywności w świecie, jest przy tym sprzęgnięte z innymi działaniami – praktycznymi, aksjologicznymi czy estetycznymi.** Inne monografie jak *Jedność i wielość: działanie i poznawanie* (1975), *Trud i sens ludzkiego życia* (1981), *Ból, lęk, cierpienie* (1995), czy *Rozum między chaosem a 'Dniem Siódmym' porządku* (1997) rozwijają i rozbudowują teoriopoznawcze podejście. W polemice z innymi stanowiskami i szkołami filozoficznymi budowana jest bogata w szczegółowe rozwiązania teoria poznawczo-praktycznej aktywności ludzkiego podmiotu.

Stanowisko teoriopoznawcze Zdzisław Cackowskiego, formułowane głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i pogłębiane w kolejnych dekadach, nawiązywało do Karola Marksa, ale czerpało również inspiracje z wielu innych koncepcji – psychologii rozwojowej Jeana Piageta oraz Lwa Wygotskiego, pragmatyzmu, cybernetyki oraz amerykańskiej i radzieckiej psychologii twórczości. W każdej z tych tradycji i w poszczególnych koncepcjach znajdowane były tematy i argumenty służące rozwinięciu własnego stanowiska. Zapowiedzią takiego podejścia była już rozprawa doktorska z 1960 roku *Treść poznawcza wrażeń zmysłowych*, w której, inspirowany zarówno przez Narcyza Łubnickiego, jak również dyskusje w ramach marksizmu, Z. Cackowski podjął temat adekwatności zmysłowych przedstawień („zagadnienie waloru poznawczego naszych przeżyć zmysłowych”). W oparciu o analizy stanowisk i sporów w sprawie rzeczywistości i obiektywności poznania i wiedzy (obrazu świata) stwierdzał: „W tej kwestii rozpatrzyć trzeba z jednej strony zależność obrazu od świata zewnętrznego, z drugiej zaś – od naszego organizmu, od aktywności tego ostatniego”.

W stanowisku Z. Cackowskiego nie mówi się o abstrakcyjnej idei poznania, lecz o poznawaniu, czyli procesach (od fizjologicznych przez psychologiczne po behawioralne) i różnorodnych czynnościach (manualnych, językowych, symbolicznych, kulturowych) ludzkiego podmiotu w jego aktywnym i wielostronnym stosunku do środowiska przyrodniczego i społecznego. Mowa jest nie o poznaniu ze strony „czystego umysłu”, lecz o ludzkim podmiocie (nie wyklucza się z tej kategorii podmiotu zwierzęcego, jak również „innej istoty”), który jest powiązany ze światem rozlicznymi więziami praktyczno-poznawczymi. Wśród tych więzi wyróżnione zostają dwa podstawowe ich typy – więzi „mocne”, „ciężkie” oraz więzi „słabe”, „lekkie”; pierwsze w postaci materialnych, produkcyjnych, technicznych powiązań ze światem, drugie w postaci znakowych i symbolicznych związków i przedstawień tego świata. To rozróżnienie jest inspirowane zarówno Marksowskimi tezami, jak i cybernetycznymi oraz teoriiinformacyjnymi (czerpanymi z prac N. Wienera czy L. Brouillona), którym poświęcał wiele miejsca (zwłaszcza w *Człowieku jako podmiocie...*). W połączeniu Marksowskiej (nie koniecznie całej marksistowskiej) orientacji ze scjentystyczno-cybernetyczną wizją poznania i wiedzy wyraża się istota *praktyzmu* Zdzisława Cackowskiego. W polskiej filozofii powojennej, w samym marksizmie, jak i poza nim, było i jest to stanowisko oryginalne.

Praktyzm ten, warto zauważyć, miał dwie inspiracje – jedną z czasów studiów w Moskwie (w latach 1950–55), kiedy ortodoksyjny marksizm akcentował tę właśnie antyidealistyczną orientację, i drugą, z okresu pierwszych lat pracy w UMCS w Katedrze Filozofii, kiedy Narcyz Łubnicki w wielu tekstach (m.in. *Myślenie a działanie* ze „Studiów Filozoficznych” z 1957) szeroko argumentował, również w nastawieniu antyidealistycznym i antysceptycznym (ale bez ideologicznego ukierunko-

wania) na rzecz prymatu praktyki codziennego życia, praktyki społecznej, techniki i nauki wobec myślenia i teorii. **Tę postawę filozoficzno-metodologiczną można uznać za rys charakterystyczny nie tylko twórczości Z. Cackowskiego, ale również dla większości lubelskiego środowiska filozoficznego w pierwszych dekadach jego tworzenia się; jest on kontynuowany w nim również i dzisiaj, w czym wielka zasługa dwóch ojców-założycieli UMCS-owskiej filozofii – N. Łubnickiego i Z. Cackowskiego.** Praksizm Cackowskiego znalazł również wyraz w habilitacyjnej monografii *Problemy i pseudoproblemy* z 1964, w której analizowane były warunki poprawnego i niepoprawnego stawiania oraz rozwiązywania sytuacji problemowych za pomocą pytań i ich różnorodnych, mniej lub bardziej poprawnych, twórczych rozstrzygnięć. Sformułowana wtedy teza mówiąca że: „Świadomość pytań zatem jest koniecznym elementem myślenia i nie można tego ogniwa pominąć przy analizie procesu poznawczego człowieka, przy analizie badawczego wysiłku uczonego” była w kolejnych dekadach wielokrotnie rozwijana i wykorzystywana w budowie coraz bardziej pogłębionej i zaawansowanej teorii poznawania.

Równoległe do tematu praktycznej natury poznawania, myślenia i tworzenia w nauce, Zdzisław Cackowski wielokrotnie formułował tezę o sprawności dydaktycznej jako koniecznym elemencie kompetencji badawczej w dziedzinie tak filozofii, jak i nauki. **Była to realizacja dydaktycznej strony filozoficznego praksizmu mówiąca o jedności badania naukowego i nauczania – dwóch czynności poznawania zachodzących w uniwersytecie.** Najpełniej zasada ta została sformułowana w 1997 roku w wspomnianej monografii *Rozum między chaosem a 'Dniem Siódmym' porządku*, w której czytamy: „W postulacie jedności nauki i nauczania uniwersyteckiego zawarte są dwie składowe. Pierwsza głosi, że nie ma nauczania godnego uniwersytetu bez prowadzenia działalności badawczej. Druga natomiast stwierdza, że nie ma działalności badawczej bez działalności dydaktycznej, nauczycielskiej, czyli bez międzyosobowej komunikacji” (s. 187). **Sens tej zasady jest zasadniczo epistemologiczny, gdyż mówi się w niej o dopełnianiu się dwóch składowych ludzkiego poznania: poznawania oraz komunikowania się, które współwystępują w doświadczenia każdego człowieka, od przedszkola przez szkołę w każdej jej postaci aż do uniwersytetu.** Jest w niej też sens *metodologiczny* (metodyczny), gdyż formułowane są warunki skutecznego przekazu nauczanych treści, które wyrastają z pracy badawczej nauczyciela akademickiego. Można widzieć w niej także sens *etyczny* polegający na odpowiedzialnym i twórczym kształceniu młodych ludzi.

Teoriopoznawcze poglądy i stanowisko Zdzisława Cackowskiego były osadzone w powyżej zarysowanej tradycji, ale wyrastały i nawiązywały do wielu jeszcze innych. Przykładem jest sięganie do myśli Gastona Bachelarda, którego bogata filozofia była, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, tematem wielu nawiązań. Do niego i innych francuskojęzycznych filozofów sięgało zresztą za Cackowskim wielu Jego uczniów i współpracowników. Podążając za Bachelardowskim pojęciem przeszkody epistemologicznej – uzupełnionym także koncepcjami J. Piageta, L. Flecka i T. Kuhna – Z. Cackowski stworzył własną koncepcję wiedzy i kompetencji poznawczych, zwłaszcza tych minionych i bieżących, które odniosły sukces, występujących niemniej w roli przeszkody, stawiających swoisty opór w procesie tworzenia wiedzy i kompetencji nowych i twórczych. Jest to koncepcja, która mówi o specyficznej relacji pomiędzy stopniem oporu starej wiedzy a oryginalnością i nowatorstwem wiedzy nowej (jest on tym większy, im oryginalność ta jest szczególnie i nowatorska). Z. Cackowski wychodzi od analizy licznych przykładów z historii nauki i kultury, w których, jak pisze, „Każda znacząca dla nauki idea rodzi się jako *herezja*, umiera zaś jako *przesąd*, mało przesąd, ona umiera jako aktywny przesąd, (...) siła sprzeciwu wobec nowych idei” (*Rozum między...*, s. 164). Wiedza nowa, oryginalna i twórcza zawsze napotyka opór starej wiedzy i musi go przełamać, aby wytworzyć oryginalne i wartościowe idee. Autor uważa, że o wartości wiedzy nowej decyduje wręcz siła tego oporu, co można ująć w bez mała ilościowym prawie rządzącym rozwojem ludzkiego poznania. Koncepcja przeszkody epistemologicznej ma także swój dydaktyczny wymiar, gdy mówi się w niej o warunkach, jakie muszą być spełnione, aby mógł nastąpić efektywny, twórczy i odpowiedzialny proces nauczania i kształcenia. Ten metodo-

logiczny i dydaktyczny aspekt epistemologicznego stanowiska Z. Cackowskiego jest rysem charakterystycznym jego filozofowania, jak również obecności w życiu uniwersytetu, wzorem przekazanym środowisku.

Specyfiką omawianego stanowiska teoriopoznawczego jest osadzanie zagadnień teoriopoznawczych w szerokim kontekście problemów ontologicznych, które sprowadzają się do sporu między koncepcjami jedności (jednorodności) bytu i jego różnorodności. W takim właśnie kontekście, w głęboko uzasadnianej akceptacji dla różnorodności, Z. Cackowski formułuje swoje rozumienie tradycyjnego problemu *racjonalizmu*, który nie jest dla niego tylko stanowiskiem teoretycznym, lecz koncepcją antropologiczno-epistemologiczną; nazywa tę kwestię „problemem zasadniczej funkcji rozumu”, której istotę wyraża w tytule pracy, w której stwierdza, że ludzki rozum nie jest raz na zawsze sformułowaną i gotową dyspozycją poznawczą, lecz jest zawsze *między* nieuporządkowanym i chaotycznym stanem rzeczywistości, z jaką człowiek ma na początku do czynienia a uporządkowanym stanem, który powstaje na skutek praktycznej aktywności zmagającej się z owym chaosem; ani chaos, ani uporządkowanie nie są wszakże stanami bezwzględnymi i absolutnymi i prawdziwa rozumność ludzka rozgrywa się właśnie w owym „między”. „Rozum autentyczny istnieje, czyli działa zawsze i tylko MIĘDZY tym ‘ideałem’ a całkowitym chaosem. Istnieje on i działa w ciągle zmieniającej się różnorodności i za sprawą tej zmienności” (tamże, s. 40).

Zarysowane powyżej stanowisko teoriopoznawcze Z. Cackowskiego jest oryginalnym złączeniem problemów ściśle epistemologicznych, ale także ontologicznych, antropologicznych oraz aksjologicznych; jest przykładem filozofowania w oparciu o tradycję oraz jej twórcze i zaangażowane rozwinięcie i wzbogacenie.

Prof. dr hab. Marek Hetmański, filozof, kognitywista, kierownik Zakładu Ontologii i Teorii Poznania w UMCS, doktorat obroniony u prof. Zdzisława Cackowskiego w roku 1988.

Andrzej Kapusta

Neuroantropologia Zdzisława Cackowskiego

Profesor Zdzisław Cackowski sięgał do problematyki medycznej przy okazji swych filozoficznych i antropologicznych rozważań. Medycyna wydawała się szczególnie ważnym obszarem badania skuteczności lub nieskuteczności ludzkiego działania. Oporność działania, dysfunkcja, zacinanie się rytmu życia człowieka okazują się cennym źródłem myślenia na temat jego świata, ujawniają złożoność i bogactwo tego świata. Stanowią na ogół egzystencjalne źródło autorefleksji, wywołują zwrot badacza (ale i często pacjenta) ku sobie i warunkom możliwości własnego skutecznego działania. Tematyka medyczna przenika całą twórczość Zdzisława Cackowskiego, ale to dopiero ostatnie dzieła, w tym książka *Ból, lęk, cierpienie*¹ koncentrują się na obszarze ludzkiego doświadczenia i jego patologii w pełniejszym wymiarze. Badania bólu i cierpienia wpisują się w filozofię negatywności jako źródła samowiedzy i samopoznania. Negatywność określa trud jaki musi przeżyć ludzkie doświadczenie, aby osiągnąć często wyrafinowaną i skuteczną postać racjonalnego myślenia i działania. „Problem bólu i cierpienia – pisze autor – podjąłem pierwotnie z potrzeb epistemologicznych, wychodząc z przeświadczenia, że autentyczna droga człowieka do wiedzy i świadomości ma swoje korzenie nie tylko w doświadczeniu w ogóle, ale w doświadczeniu bolesnym o czym na ogół zapomina się”².

Filozoficzne ujęcie problematyki choroby i medycyny polega na zbadaniu wielu perspektyw teoretycznych i kompetencji różnych dyscyplin w rozpoznawaniu problematyki bólu i cierpienia. Pisał: „A co do filozofii bólu. To może właśnie rola ‚oka filozoficznego’ powinna by polegać na tworzeniu mapy różnych szczegółowych kompetencji w zakresie bólu i na rozbudzaniu wrażliwości

¹ Z. Cackowski, *Ból, lęk, cierpienie*. Lublin: Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej; 1995.

² *Tamże*, s. 142.

przedstawicieli każdej z nich na kompetencje inne³ Medycynie i fizjologii przypisuje się uprzywilejowaną rolę w walce z dolegliwościami, zaburzeniami, patologiami. Jednakże są one w stanie uchwycić jedynie pewien niewielki aspekt tego typu doświadczeń.

Dlatego Z. Cackowski zestawia ze sobą perspektywę psychologiczną, socjologiczną, teologiczną i ontologiczną bólu i cierpienia. Określa granice i obszary kompetencji przedstawicieli tych dziedzin. Pełne zrozumienie działań nauki i medycyny staje się zrozumiałe dopiero w całości kształcie ludzkich doświadczeń, które w sposób nieuchronny zawierają wymiar bolesny i pełen cierpienia. Nie tylko medycyna naukowa posiada zdolności uśmierzania bólu, również kultura posiada swoje środki i możliwości. Autor *Bólu...* odwołuje się do wiary w moc św. Apolonii, patronki zdolnej uśmierzyć ból zęba. Ból zęba to przykład sytuacji, kiedy brak technicznych środków radzenia sobie z dolegliwością, pozostawanie w obszarze niemocy, domaga się wykorzystania będących w dyspozycji środków kulturowych – obyczaju, religii (np. modlitwy), prawa, moralności. Ból i cierpienia mają więc nie tylko wymiar bezpośrednio fizyczny i psychiczny, ale też społeczny i kulturowy. Aspektem fizycznym towarzyszą wymiary kulturowe. „Tam, gdzie jest lub staje się skuteczne działanie w porządku naturalnym (działanie stomatologa, lekarza...), tam nie powstaje lub obumiera działanie w porządku kulturowym. Gdzie natomiast kończy się obszar skuteczności działań naturalnych, tam ludzie odwołują się do działań zastępczych, symbolicznych, czyli kulturowych. Wtedy „lekarzami” są czarownicy, magowie, znachorzy, uzdrowiciele, egzorcyści, kapłani, psychoanalitycy...”⁴

Filozoficzne (ontologiczne) ujęcie problemu bólu i cierpienia polega na ich nieusuwalności z ludzkiego doświadczenia. Innymi słowy człowiek jest podatny na zranienie i żadne techniczne środki nie są w stanie tego faktu przewyciężyć, anihilować. O ile możliwa jest walka z poszczególną dolegliwością, ból i cierpienie jako takie przenikają szeroki obszar ludzkiego doświadczenia i stanowią jego istotny element. Co więcej, Autor tych rozważań zakłada antropotwórczy i wiedzotwórczy charakter bólu. Dostrzega człowieka jako istotę unikającą doświadczeń bólowych i dzięki świadomości zagrożeń będącą w ciągłej czujności i świadomości. „Poparzone paluszki” są najlepszym źródłem wiedzy i skuteczności późniejszego działania.

Jednocześnie stan chorobowy uświadamia nam jak niestabilny jest nasz świat, jak rzeczy mogą pójść w złym kierunku. Stąd teza o niepełnosprawności człowieka jako istoty żyjącej w niestabilnym i niejednoznacznym środowisku, które wymaga od niego inteligencji i czujności. Istoty skazanej na szereg bolesnych doświadczeń, które nie tylko wiążą się ze społecznym cierpieniem, ale też z nieustanną ekspansją i zmiennością ludzkiego świata (nowe obszary świata i dezaktualizacja dotychczasowych kompetencji). Ogromna część działań ma charakter interwencyjny, korygujący skutki naszych pierwotnych działań, szczególnie w obszarze wyrafinowanej technologii. Ludzkie cierpienie domaga się działania/przeciwdziałania, nie tylko o charakterze medycznym.

Medyczna diagnoza i leczenie stają się możliwe o ile ujednoznaczmy sytuację danej osoby, wskażemy na jasne kryteria choroby, etiologię i leczenie. Technicznemu podejściu przeciwstawia się środki działania symbolicznego w postaci wsparcia, nadziei, wskazania sensu bólu czy cierpienia. Coś, co traktowane jest jako jednoznacznie negatywne może posiadać również pozytywny wymiar oraz ujawnia złożony charakter ludzkiego działania. Samo doznanie bólowe daje możliwość przetrwania w miarę dobrej kondycji fizycznej. Również szereg doznań i ludzkich doświadczeń ma zawsze potencjalnie aspekt bólowy i w tym sensie wzmacnia w nas czujność i uwagę. Z. Cackowski dostrzega szerszy wymiar ludzkiego bólu i cierpienia, który jest funkcją ludzkich relacji i więzów, które „postrzępione” prowadzą do szeregu cierpień i obaw. Przykładem jest złamanie ręki przez skrzyпка, czemu towarzyszy nie tylko ból fizyczny i natychmiastowe cierpienie, ale też obawa przed przyszłością i możliwością realizacji swoich dotychczasowych planów życiowych.

Chorobie towarzyszy nie tylko biologiczna dysfunkcja, ale utrata możliwych działań i załamanie planów oraz potencjalnych odniesień i relacji z innymi.

³ Tamże, s. 13.

⁴ Tamże, s. 17.

Z. Cackowski często sięgał do wiedzy i kompetencji innych dyscyplin i nauk: fizyki, biologii, informatyki, teologii, literatury. Jego nawiązanie do książek brytyjskiego neurologa Olivera Sacksa służyło ukazaniu realności istotnych problemów filozoficznych oraz zrozumieniu natury ludzkiego działania w świecie poprzez analizę „strzępów okaleczonych losów”. Był zafascynowany odważną postawą autora książki *Antropolog na Marsie*, który stwierdził: „Zdjąłem mój biały kitel i opuściłem szpital, (...) po to, by badać życie bohaterów tej książki, w części jak antropolog, neuroantropolog – przede wszystkim jednak jako lekarz, wzywany tu lub tam na wizyty domowe, wizyty na krańcach ludzkiej egzystencji”⁵. Autor książki *Ból, lęk, cierpienie* również chce wyjść poza wąsko pojęty obszar analiz filozoficznych i sięga po lekturę i doświadczenie lekarzy i psychiatrów. Jest bowiem przekonany, że biomedyczny model choroby, który wskazuje i tropi wywołane chorobą braki i dysfunkcje nie jest w stanie uchwycić złożoności sytuacji choroby i doświadczenia pacjenta jako osoby. Być może w pracach neurologa odkrywa wagę literackiej narracji w opisie ludzkiego świata. Odczuwa rozszczepienie między ścisłym językiem nauki i matematyki, która pragnie uporządkować, poklasyfikować ludzki świat i językiem literatury, jej wyobraźni i chaotyczności metafor. Inspiracje francuską filozofią (np. G. Bachelardem) ułatwia tak odważne korzystanie z różnorodnych zasobów dorobku kultury.

Oliver Sacks w swych opisach pacjentów odsłania fundamentalne cechy ludzkiego życia. Tego życia melodyczność, zmienność i bogactwo ujawniają się wówczas, kiedy wszystko się chwieje i rozpada. **Z. Cackowski nie neguje biologicznych podstaw ludzkiego zachowania. Jednak ludzkie ciało okazuje się posiadać wiele warstw. Oprócz fizycznej/biologicznej cielesności pojawia się ciało społeczne, techniczne, językowe, kulturowe i psychologiczne⁶. W ten sposób, ściśle neurobiologiczny defekt lub nadmiar owocuje rozregulowaniem całego systemu biopsycho-kulturowego.** Obszar społeczno-kulturowy może znaleźć odzwierciedlenie na poziomie biologicznym, neuronalnym. Szukanie społeczno-kulturowych podstaw neurologii może wydawać się trudne do zaakceptowania przez lekarzy, którzy w codziennej praktyce obserwują się wpływ neurobiologicznej aberracji na stan mentalny i emocjonalny pacjentów. Jednakże autor nie neguje neurologicznego substratu ludzkich działań, stara się raczej ukazać specyfikę ludzkich doświadczeń niemożliwych do wyjaśnienia poprzez odwołanie do procesów zachodzących wewnątrz mózgu. Dopiero uwzględnienie społecznych, interakcyjnych stabilizatorów ludzkiego doświadczenia ujawnia rzeczywistą naturę procesów chorobowych.

Z. Cackowski wydaje się być zafascynowany „neurologią ulicy”, która wychodzi poza mury szpitala i przestrzeń gabinetu lekarskiego, aby zrozumieć specyfikę i charakter dolegliwości pacjentów oraz odkryć tajniki ludzkiego doświadczenia. Pacjenci Sacksa mają deficyty, ale i nadmiary (nadfunkcjonalność), które owocują ekstrawagancją i aberracją nie przypominającą negatywnych dysfunkcji, ale nadzwyczajne i niekiedy fascynujące cechy lub zdolności ludzkich doznań i zachowań. Pacjenci w obliczu aberracji własnego doświadczenia walczą o zachowanie ciągłości własnej tożsamości. Zrozumienie ich symptomatologii nie jest możliwe bez wysłuchania ich własnej narracji, bez perspektywy pierwszoosobowej. Utracie pamięci może towarzyszyć nadmierna skłonność do konfabulacji, która zapełni luki pamięciowe. Pojawia się pytanie o „archeologię ludzkiej duszy”, czyli tego, jak ludzkie przeżycia są wdrukowywane w struktury mózgowie i jednocześnie w struktury społeczno-kulturowe. **Konsekwencją tych poszukiwań jest wizja mózgu społecznego, zanurzonego w kulturze. Mózgowe imprinty mają charakter obrazów, które znajdują bardziej językową i symboliczną stabilizację. Z. Cackowski poszukuje ogniwa, które łączy to, co treściowe z tym, co obrazowe, to co wewnętrzne z tym, co społeczne, to co empiryczne, z tym, co racjonalne.** W jaki sposób doświadczenia ludzkie mimo swej złożoności tworzą pewną płynność i harmonię, która staje się szczególnie widoczna w przypadku nerulogicznych zaburzeń? Poszukiwanie szóstego zmysłu, który scala serce i rozum, i czyni ludzkie doświadczenie spójnym i płynnym prowadzi do badań nad propriocepcją, a w dalszej perspektywie do badań fenomenologicznych, które nie zawsze były Pro-

⁵ O. Sacks, *Antropolog na Marsie*. Poznań: Wydawnictwo Zysk i S-ka; 2008.

⁶ Z. Cackowski, *Człowiek i świat człowieka*. Warstwy „ludzkiego ciała”, Wyd. UMCS, Lublin 2003.

fesorowi bliskie. Neurofenomenologia i ucieleśniony nurt współczesnej kognitywistyki inspirując się fenomenologią percepcji Merleau-Ponty'ego odnajdują spójność i głębie ludzkiego doświadczenia w propriocepcji, ucieleśnionym umyśle, odczuciach egzystencjalnych.

Dlatego badania Zdzisława Cackowskiego wydają się nie tylko aktualne, ale przyjmują perspektywę będącą przedmiotem gorących debat i badań w dzisiejszej antropologii i neurokognitywistyce.

Dr hab. Andrzej Kapusta, filozof, lekarz, kierownik Zakładu, doktorat obroniony u prof. Zdzisława Cackowskiego w roku 1993.

Jan Pomorski

Zdzisława Cackowskiego biografia nieoczywista

Tylko błędy tworzą życie!

Zdzisław Cackowski, 2011¹

Ta opowieść mogłaby zaczynać się tak: Bolonia, 18 września 1988 roku. 58-letni wówczas profesor Zdzisław Cackowski składa podpis pod *Wielką Kartą Uniwersytetów* – Magna Charta Universitatum. On – syn wyrobników rolnych z Ziemi Dobrzyńskiej, położonej na prawym brzegu Wisły, chłopak, dla którego „wielkim światem” był leżący po drugiej stronie rzeki Włocławek – miejsce jego powojennej edukacji, stoi tu teraz – równy między równymi – z elitą akademickiej Europy. Jest wówczas rektorem UMCS – pierwszego uniwersytetu utworzonego w powojennej Polsce na mocy dekretu PKWN, 23 października 1944 roku, a jednocześnie członkiem Komitetu Centralnego PZPR – partii, która przed takimi jak on otworzyła możliwość nauki i społecznego awansu. Gdy PKWN zapowiadał swoje reformy, miał lat 14 i – skończone jeszcze przed wojną – dwie klasy wiejskiej szkoły elementarnej, a teraz podpisuje *Wielką Kartę*, swego rodzaju konstytucję świata akademickiego Europy.

Życie Profesora Zdzisława Cackowskiego było tak nasycone znakami czasu, splecione z historią Polski, że bez odwołania do niej nie da się o nim sensownie opowiedzieć, ani tym bardziej go zrozumieć. Będzie to zatem opowieść podwójna: o drodze, jaką ten wiejski chłopak przeszedł ku akademickiej Europie i opowieść o naszej najnowszej historii, bo bez tego pokoleniowego i polskiego kontekstu nie da się poznawczo uchwycić i zrozumieć życia Profesora. Będzie to zarazem opowieść o wykorzystanej szansie PRL-u.

Zdzisław Stanisław Cackowski urodził się 1 stycznia 1930 roku w małej wiosce Warząchewka Królewska, gmina Śmiłowice, powiat Włocławek, jako jeden z czworga rodzeństwa.

Dzieciństwo i lata wojny naznaczone były biedą i ciężką pracą. Po latach Profesor napisze: „W czasie wojny gospodarstwo rolne było zajęte przez osadników niemieckich, rodzice zaś pracowali w charakterze wyrobników rolnych.”² Sam także już wtedy zaczyna pracować fizycznie: „*Wojnę spędziłem przy rodzicach pracując najemnie w gospodarstwach zajętych przez osadników niemieckich.*”³ *Po wojnie, ukończywszy szkołę podstawową [w Szpetalu Dolnym – JP], wstąpiłem do*

Tekst powyższy jest obszernym fragmentem referatu wygłoszonego na wspomnianej konferencji poświęconej pamięci i dorobkowi prof. Zdzisława Cackowskiego, zorganizowanej przez Jego uczniów i przyjaciół w Lublinie na Wydziale Filozofii i Socjologii UMCS w dniu 26 czerwca 2017 roku. Był on oparty na obszerniejszym studium pt. „Spełniona obietnica PKWN, czyli Zdzisława Cackowskiego droga na akademicki Parnas”, który ukaże się drukiem w „Roczniku Lubelskim”.

¹ Tą ulubioną maksymą życiową Zdzisław Cackowski kończy swój autobiograficzny wywiad dla czasopisma „Sofia. Pismo filozofów krajów słowiańskich”, nr 11/2011, s. 330.

² Życiorys z 20 kwietnia 1970..

³ Życiorys z 6 maja 1968 r. W tradycji rodzinnej zachowało się wspomnienie „niewolniczej pracy u Niemca nazwiskiem Ruzyn”.

Gimnazjum Ziemi Kujawskiej we Włocławku – taką informację odnajdujemy w życiorysie Profesora Cackowskiego z roku 1960.⁴ Zanim to zrobił, w dwa lata musiał przerobić pięć klas szkoły podstawowej. Lata spędzone w Gimnazjum Ziemi Kujawskiej to także początek działalności politycznej Cackowskiego. W późniejszym czasie zapisze: „Moja działalność społeczno-polityczna rozpoczęła się w szkole średniej na terenie której w r. 1947 wstąpiłem do Związku Walki Młodych. Następnie byłem aktywnym członkiem ZMP”.⁵ Zaś we własnoręcznie wypełnionym Kwestionariuszu osobowym z 20 kwietnia 1970 roku podaje dodatkowe informacje: 1947–48 ZWM, 1948–50 ZMP, od 1950 PZPR.⁶

Bez wątpienia był to bardzo ważny, jeśli nie zwrotny, życiowy wybór. Ma rację Timothy Snyder, gdy pisze: *Moment, kiedy ktoś zostaje członkiem partii komunistycznej albo zgłasza akces do komunizmu, jest bardzo ważny z biograficznego punktu widzenia. To swego rodzaju podwójna pułapka – od tego momentu rewolucja niknie ci z oczu niczym tęcza za horyzontem. Chcesz ją dogonić. Zarazem coraz bardziej oddala się w czasie chwila, kiedy dokonałeś wyboru, a wraz z nim zyskiwałeś wielu dobrych przyjaciół i nowe miłości. Myślę, że bardzo trudno odciąć się od tych ludzi i od tej chwili.*⁷

Ryszard Kozłowski w monografii *Czerwony Włocławek. Mity a rzeczywistość*⁸ pokazuje, że taki akces do PZPR był wówczas powszechną praktyką także na Kujawach, typową dla tego pokolenia, które w dojrzałość wchodziło wraz z umacnianiem się nowej władzy i w Polsce Ludowej dostrzegło swoją życiową szansę. Wybierali drogę wyznaczoną przez partię. Mieli stać się liderami zmiany społecznej, nową ludową polską inteligencją. Najzdolniejsi, najbardziej ideowi i klasowo „czyści” dostawali od władzy ludowej to, co było w jej mniemaniu najcenniejsze – możliwość studiowania w Kraju Rad.

Zapewne Zdzisław Cackowski posiadał wszystkie te trzy atrybuty, bo po maturze został skierowany na studia do Moskwy na Uniwersytet im. Łomonosowa.

Co zdecydowało, że Cackowski wybrał filozofię – nie wiemy⁹, wiemy natomiast, że był studentem bardzo dobrym: prof. Narcyz Łubnicki wspominał po latach, że gdy Cackowski pojawił się u niego w Katedrze Filozofii po raz pierwszy w 1956 roku, okazał indeks, w którym „figurowały piątki prawie z wszystkich licznych przedmiotów egzaminacyjnych – nie tylko humanistycznych, lecz i przyrodniczych. Świadczy to o uznaniu, jakie zdobył wśród specjalistów już w czasie studiów uniwersyteckich” – pisał w datowanej na 23 grudnia 1968 roku ocenie dorobku docenta Cackowskiego.¹⁰ Wiemy też, że pracę dyplomową na „Łomonosowie” pisał na temat pojęcia prawa u Hegla.¹¹

W Archiwum UMCS zachowała się fotokopia samego *Dyplomu z wyróżnieniem*, potwierdzając jego kwalifikacje jako filozofa.¹²

⁴ <http://filozofia.umcs.lublin.pl/zaklad-ontologii-i-teorii-poznania/zdzislaw-cackowski>

⁵ Życiorys z 6 kwietnia 1968.

⁶ Archiwum UMCS, sygn. H/57 Kwestionariusz osobowy Zdzisława Cackowskiego z 20 kwietnia 1970 r. W życiorysie napisanym w 1968 roku podawał, że jest członkiem PZPR od roku 1951.

⁷ Rozmowy Timothy’ego Snydera z Tonym Judtem, *Rozważania o wieku XX*. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013, s. 119.

⁸ R. Kozłowski, *Czerwony Włocławek. Mity a rzeczywistość*, Wyższa Szkoła Humanistyczno-Ekonomiczna we Włocławku, Włocławek 2000.

⁹ To zaskakujące tym bardziej, że właśnie w tym samym roku, gdy pojechał studiować filozofię do Moskwy, w Polsce zdecydowano się usunąć ją z uniwersytetów, a najwybitniejsi nasi filozofowie, z Kotarbińskim, Tatarkiewiczem i Ajdukiewiczem na czele, zostali pozbawienie możliwości wykładania.

¹⁰ N. Łubnicki, Ocena działalności naukowej i dydaktycznej doc. dr hab. Zdzisława Cackowskiego i wniosek o nadanie mu tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego (maszynopis, 12 s.). Archiwum UMCS, sygn. H/58/41.

¹¹ N. Łubnicki: cyt. wyd., s. 1.

¹² AUMCS, sygn. H/58/41. Dodajmy, iż *Rozporządzenie Ministrów Oświaty i Zdrowia z 10.05.1950 r. w sprawie uznawania studiów wyższych odbytych w ZSRR* (Dz.U. nr 25. poz. 227) uregulowało kwestię uznawalności takich dyplomów w Polsce, w związku z czym Cackowski uzyskał 19 sierpnia 1955 roku formalne urzędowe potwierdzenie, iż „posiada uprawnienia wynikające z ukończenia studiów wyższych II stopnia oraz prawo do używania tytułu magister filozofii”. Zostało ono dołączone do wniosku o otwarcie przewodu doktorskiego, zob., AUMCS sygn. H/57/41.

Po powrocie z Moskwy, na podstawie nakazu pracy z Ministerstwa, zostaje Zdzisław Cackowski skierowany do Lublina, na Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej do Zakładu Podstaw Marksizmu-Leninizmu. Miasto wydało mu się wówczas okropne.¹³ Wraść w nie powoli, ale coraz mocniej, by z czasem uznać, że jest właśnie stąd, z Lublina, z tej ziemi.¹⁴ Musiało w tym pomóc zapewne i to, że szybko założył tu własną rodzinę (ożenił się w roku 1956).

Zakład Podstaw Marksizmu-Leninizmu UMCS, do którego Zdzisław Cackowski trafił z nakazu pracy, kierowany był wówczas przez magistra (sic!) Stanisława Krzykałę, aparaczyka władzy ludowej, osobę nie najwyższych lotów, by wyrazić się oględnie¹⁵, Cackowski, z jego zdolnościami, nie czuł się zapewne w takiej atmosferze najlepiej, bo gdy tylko nadarzyła się pierwsza okazja – w 1956 na polskie uniwersytety powróciła z sześćcioletniego „wzgnania” filozofia, zjawił się u prof. Łubnickiego, który tworzył właśnie Katedrę Filozofii¹⁶, i już od roku akademickiego 1956/57 został w niej zatrudniony na stanowisku starszego asystenta.

Doktoryzował się w roku 1960, habilitował w 1963.¹⁷ Tytuł profesora nadzwyczajnego uzyskał w 1971, zaś profesora zwyczajnego w roku 1976. Tyle suche fakty, zamieszczane w prawie każdym z wielu biogramów Zdzisława Cackowskiego. Na podstawie informacji zaczerpniętych z przechowywanych w Archiwum UMCS jego akt personalnych można te dane uzupełnić: starszy asystent od października 1956, adiunkt od marca 1960, od lutego 1963 zatrudniony na stanowisku docenta, a od listopada 1971 na stanowisku profesora nadzwyczajnego.¹⁸ Można też dodać, że kolejne przekształcenia w strukturze organizacyjnej UMCS, w dużej mierze przez Cackowskiego inicjowane, powodują zmiany w afiliacji: Katedra Filozofii w latach sześćdziesiątych zostaje przekształcona w Instytut Nauk Pedagogicznych i Filozoficznych (w tym czasie Profesor dodatkowo pracuje jeszcze, do 1968 roku, w Zakładzie Filozofii Akademii Medycznej w Lublinie), od roku 1971 jest już pracownikiem Instytutu Filozofii i Socjologii UMCS, a w roku 1973 powstaje Międzyuczelniany Instytut Filozofii i Socjologii, któremu Cackowski dyktuje, by ostatecznie w roku 1990 stać się pracownikiem Wydziału Filozofii i Socjologii UMCS, lecz ciągle jest to ten sam Instytut Filozofii, której najważniejszą i najlepiej rozpoznawalną w Polsce twarzą pozostaje przez te wszystkie lata profesor Zdzisław Cackowski.

Bez wątplenia był on produktem tych czasów: to o takich jak on – „nowych ludziach” opowiadała propaganda PRL (stał się też mimowolnym anonimowym bohaterem takiej opowieści w Polskiej Kronice Filmowej z 1952 roku – „Na studiach w Moskwie”, jak pamiętamy). Swoją społeczny i edukacyjny awans zawdzięczał władzy ludowej, ale na ile mentalnie był „zaprogramowany” przez jej propagandę? A może lepiej odwrócić to pytanie: a jak miał jej nie wierzyć, skoro on sam, jego dotychczasowe życie było tej obietnicy spełnieniem? Ono ją potwierdzało, a nie falsyfikowało.¹⁹ Wystarczy przypomnieć sobie, z jakiego punktu startował...

¹³ Zob. *Relacja Zdzisława Cackowskiego*, zbiór *Historia mówiona*, teatrNN w Lublinie (dalej: *Relacja Zdzisława Cackowskiego*).

¹⁴ Tą kategorią „wraścian w lubelską ziemię” posłużył się Zdzisław Cackowski, już jako rektor UMCS, żegnając na uroczystości pogrzebowej w 1988 roku swego naukowego Mistrza – prof. Narcyza Łubnickiego i często jej później w rozmowach używał także na określenie swojej relacji z Lublinem.

¹⁵ Miałem okazję przekonać się o tym jako jego student – był profesorem i dyrektorem Instytutu Historii w latach 1972–1975.

¹⁶ Już sam termin *katedra* w nazwie był oznaką następujących przemian, nawiązaniem do pięknych tradycji uniwersyteckich, do których Łubnicki odnosił się z pietyzmem. Katedra Filozofii mieściła się wówczas w budynku na rogu ulicy Lipowej i ul. Skłodowskiej.

¹⁷ Sam Cackowski zwykł podawać przy habilitacji rok 1962 i faktycznie w tym roku odbyło się kolokwium, ale wymagane wówczas ustawowo zatwierdzenie przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego się przeciągało i ostatecznie nastąpiło to już w roku następnym. Do tej sprawy jeszcze powrócę.

¹⁸ Kwestionariusz osobowy z 21.04.1975. Z dołączonego odpisu dowodu osobistego można z kolei się dowiedzieć, iż Zdzisław Cackowski był szeregowcem, nr specjalizacji wojskowej 131.

¹⁹ Ma więc rację M. Mazur, gdy – wbrew obiegowym opiniom wielu współczesnych historyków – zauważa, „Z tego wynika wniosek, że propaganda nie posługiwała się wyłącznie kłamstwami i obserwując jej treści, już wówczas można było zgromadzić informacje co do kierunku przemian; zaprzecza to potocznej tezie głoszącej całkowitą dysharmonię pomiędzy tym, co propaganda głosiła a realnym działaniem i poglądami władzy”. Tamże, s. 12.

Znakomicie te dylematy marksistowskich intelektualistów XX stulecia uchwycił Tony Judt: „*Jest ciężko, musimy podejmować trudne decyzje, ale nie mamy wyjścia, musimy robić wstrętne rzeczy, to jest rewolucja, robimy omelet i nie czas chuchać na jajka. Innymi słowy, to zerwanie z przeszłością i naszymi wrogami, uzasadniane i wyjaśniane przez wszechobejmującą logikę przeobrażenia człowieka. Marksści traktujący to jako zwykłe represje byli – całkiem zasadnie – oskarżani o niezrozumienie konsekwencji własnej doktryny i odsyłano ich na śmietnik historii.*”²⁰

Zapewne rok 1956 musiał dla Cackowskiego – członka partii wiele znaczyć, ale moim zdaniem błędne byłoby zaliczenie go do „pokolenia Października”, czyli tych, których właśnie Październik ukształtował na całe dalsze „partyjne” czy intelektualne życie. Dwa tego widziałbym powody, bowiem w podwójnym sensie „nie był on stąd”. Po pierwsze, jego rodowód nie był rodowodem lewicowej inteligencji, tej w drugim pokoleniu, synów i córek przedwojennych komunistów i socjalistów, którzy wchodząc w dorosłe życie, Październik przeżywali nie tylko emocjonalnie i intelektualnie, ale także „rodzinie”. On był z innej „rodziny”, był „dzieckiem PKWN”, z wszystkimi konsekwencjami stąd wynikającymi. Po drugie, lata 1950–1955 spędził w Moskwie, dlatego krąg jego bezpośrednich doświadczeń „nie był stąd”, z konieczności musiał być inny.

Jego życie partyjne i życie uniwersyteckie spotkały się tak naprawdę właśnie wtedy, w październiku '56 i odtąd toczyć się będą jako „historia splekana”²¹ aż do roku 1990, a może nawet – w sensie samoświadomości, namysłu „nad”, poznawczego „rozplątywania” tego, co było „splątane” – aż do końca, do ostatnich dni... Co znaczyło dla niego „bycie w partii”? Myślę, że o wiele więcej niż sama przynależność organizacyjna czy sprawowanie „kierowniczej roli”. Było to nawet coś więcej niż tylko sam wybór ideowy, choć lewicowa ideowość, rozumiana jako służenie, angażowanie się w „słuszną społeczną sprawę” była dla niego bardzo ważna. Powiedziałbym raczej, używając bardziej subtelnej języka, że **partia stanowiła dla niego wartość autoteliczną**, zbliżoną do tego, jak zwykliśmy myśleć o rodzinie jako o wartości samej w sobie. Był do niej „po chłopsku” przywiązany, traktował ją jako „rodzinę” właśnie. Nie znaczy to, że nie widział w partii zła, jakie ją toczyło, nie dostrzegał jej (i w niej) określonych słabości. Przeciwnie, widział, często szybciej i dogłębniej niż inni, ale przecież to była jego „rodzina”, on się w niej na nowo urodził; to partia była mu za młodu „ojcem i matką”, była drugą, a może nawet okresami pierwszą rodziną. A rodziny się nie porzuca, z rodziną jest się na całe życie, na dobre i na złe.

Tak bym próbował tę złożoną relację Cackowskiego z PZPR „rozumiejąco” interpretować. Jerzy Kmita nazywał takie podejście w humanistyce *życzliwą interpretacją*. Idąc tym tropem, należałoby przyjąć, iż właśnie z takich powodów bohater tej opowieści, dostrzegając w partii błędy, chciał z nimi walczyć od środka, w obrębie „partyjnej rodziny”, tak w 1956, jak i w latach późniejszych, z osiemdziesiątymi włącznie, gdy Historia postawiła przed nim najtrudniejsze wyzwanie.

Na jeszcze inny aspekt relacji intelektualisty z partią zwraca uwagę Tony Judt: „*Komunizm dawał również swoim wyznawcom silne poczucie przynależności. W pierwszym tomie swoich wspomnień francuski poeta Claude Roy opisuje młodzieńczą fascynację faszyzmem. Książka nosi tytuł Moi [Ja]. Ale tom drugi, obejmujący lata komunizmu, nosi znaczący tytuł Nous [My]. To symptomatyczne. Myśliciele komuniści czuli się częścią społeczności podobnie odczuwających intelektualistów, co dawało im nie tylko poczucie słuszności działania, ale również podążania zgodnie z kierunkiem dziejów. „My” to robimy, a nie tylko „ja”. Oznaczało to przezwycięzenie wizji samotnego tłumu i umieszczało pojedynczego komunistę w centrum nie tylko projektu historycznego, ale i kolektywnego procesu.*”²²

Przy czym to przywiązanie Cackowskiego do partii nie miało w sobie nic z oportunistycznym czy koniunkturalizmem, a tym bardziej karierowiczostwa. W jego relacjach z partią, które od strony faktograficznej ukazane są szczegółowo w przywoływanych tu pracach Kruszyńskiego, Gołaszewskiej-Chilczuk oraz Wrony i Zaporowskiego, nie dostrzeżemy też śladu partyjnego „amoralnego

²⁰ Tony Judt i Timothy Snyder, *Rozważania o wieku XX*, Dom wydawniczy REBIS, Poznań 2013, s. 115.

²¹ Na temat pojęcia „historii splekanej” i rozmaitych sposobów jej uprawiania zob.: M. Werner, B. Zimmermann, *Beyond Comparison: Histoire Croisée and the Challenge of Reflexivity*, „History and Theory” 2006, No 45.

²² Tony Judt, *Rozważania o wieku XX*, op.cit., s. 118.

familizmu”²³, co było udziałem tylu innych prominentnych działaczy. Nie wiem, czy zdarzyło się, iż z powodu przynależności partyjnej Cackowski kogoś potraktował lepiej, znam za to przypadki, gdy egzaminując z filozofii marksistowskiej, wypominał członkom partii brak należytego przygotowania, mówiąc „od was z tego przedmiotu muszę i powinienem wymagać więcej.”

Cackowski w wielu kwestiach lubił iść „pod prąd”, a nie „z prądem”. Jego polityczne wybory nie były koniunkturalne. Wybór pierwszy, akcesja do ZWM a potem do PZPR, wynikał z życiorysu, z takich a nie innych życiowych doświadczeń, był ich konsekwencją. Wydarzenia marcowe roku 1968 i wszystkie ich następstwa, praktycznie go nie dotknęły, bo w połowie roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i na stypendium Forda spędził kilkanaście miesięcy. Gdy powrócił, skupił się na „profesurze”, a jak ją już uzyskał, zaczęła się akurat Gierkowska „mała stabilizacja”. Dla Profesora był to czas intensywnej i najbardziej twórczej pracy naukowej, pisze wtedy swoje najważniejsze książki, uzyskując dzięki temu bardzo mocną pozycję w środowisku marksistów. Kiedy jednak pojawiają się w Polsce napięcia, nie uchyla się od zabrania publicznie głosu, daje swoją „twarz” działaniom partii. Szczególnie było to widoczne w grudniu 1981 roku, gdy stanął na czele Tymczasowego Komitetu Uczelnianego PZPR (KU dwa dni wcześniej podjął decyzję o samorozwiązaniu w proteście wobec wprowadzenia w Polsce stanu wojennego). Wydaje mi się (choć żadnych na to dowodów w dostępnych źródłach nie odnalazłem), że to działanie, które wtedy podjął nie wynikało z jakiegoś wyrachowania, nie było obliczone na przyszłe korzyści. Działał zgodnie ze swoimi przekonaniami, a nie na „partyjny rozkaz”. Jego późniejszy (w 1986 roku) awans partyjny do Komitetu Centralnego, nie wynikał z zasług „grudniowych dni”, ale był efektem reformatorskich przekonań i wybitnej pozycji Profesora jako marksistowskiego filozofa, co gen. Wojciech Jaruzelski docenił i chciał wykorzystać, angażując go w prace Rady Konsultacyjnej – ciała doradczego, które w tym czasie powołał. W ten sposób prof. Cackowski uzyskał pozycję, która uniezależniła go od lokalnego aparatu partyjnego i po raz pierwszy w życiu mógł mieć pośredni (czy nawet bezpośredni) wpływ na sprawowanie „kierowniczej roli partii” w Polsce. Inny profesor – Janusz Reykowski, jeden z najbliższych doradców Jaruzelskiego i architektów Okrągłego Stołu po stronie partyjnej (z pozycji członka Biura Politycznego PZPR) mówił mi po latach²⁴, iż Cackowski odgrywał w grupie „reformatorów” rolę niezwykle istotną, bowiem jego analityczny umysł wyłapywał wszystkie potknięcia i słabości argumentacji ich ówczesnych przeciwników w łonie partii, a przysłuchujący się takim obradom Jaruzelski zawsze słuchał go z zainteresowaniem i często sam wywoływał do głosu: „A co na to towarzysz Cackowski?”. **A Profesor wskazywał na potrzebę dialogu społecznego i głębokich a nie pozorowanych reform.**

Dlatego pewnie bardzo musiały boleć Cackowskiego niesprawiedliwe oceny wystawiane jego działaniom, także te formułowane po latach przez lubelskich historyków. Marcin Kruszyński np. pisze: „Nie był zadowolony z umów zawartych przy Okrągłym Stole”, nie przytaczając jednak żadnych na to dowodów (nie jest nim bowiem przywołana w zdaniu następnym wypowiedź z 21 maja 1989 roku dla „Życia Warszawy”)²⁵. Otóż było akurat odwrotnie, o czym świadczy chociażby przywołane powyżej świadectwo Reykowskiego. Cackowski zdecydowanie stał wtedy po stronie tych w partii, którzy opowiadali się za polskim wewnętrznym *appeasementem* i był przez nich nawet namawiany do kandydowania do Sejmu w wyborach 4 czerwca. Ważna w tym kontekście jest również styczniowa uchwała senatu UMCS z 1989 roku²⁶, którego – nie zapominajmy – Cackowski był przecież przewodniczącym: „Senat UMCS wyraża przekonanie, że zmiana klimatu społecz-

²³ „Amoralny familizm” to pojęcie wprowadzone przez Edwarda C. Banfielda, *The Moral Basis of a Backward Society*, 1958) na opis sytuacji społecznych, gdzie „Wspólna przestrzeń etyczna występuje tylko wewnątrz zamkniętej grupy, na zewnątrz natomiast, wobec innych grup, tolerancję zastępuje ksenofobia, zaufanie – paranoiczna podejrzliwość, życzliwość – brutalna wrogość, debatę zastępują inwektywy, a dobro wspólne – wąski interes grupowy.”

²⁴ Z prof. Januszem Reykowskim spotkałem się i miałem okazję współpracować w latach 2007–2008 na warszawskiej SWPS, uczelni której był jednym z założycieli.

²⁵ M. Kruszyński, op.cit., s. 356.

²⁶ Obrady „Okrągłego stołu” zaczęły się, jak wiadomo, 6 lutego 1989 roku, a więc w 20 dni po tym, jak ta uchwała została podjęta przez Senat UMCS i stąd wynika jej znaczenie.

no-politycznego, która dokonuje się w naszym kraju, stanowi przesłankę, a zarazem zapowiedź szybkich i głębokich – oczekiwanych przez społeczeństwo – przemian politycznych i społecznych, jak również dalszych zmian w polskiej gospodarce.”²⁷ Gdyby nie wyrażała ona także jego przekonania, nie weszłaby nawet pod obrady senatu, bo to rektor przecież decydował o jego porządku.

O tej postawie Cackowskiego w tamtych dniach szybko zapomniano, podobnie jak o tym, że to on wychodził naprzeciw relegalizującym się wówczas na UMCS strukturom Niezależnego Zrzeszenia Studentów (17 marca 1988 r. powołano jawną Uczelnianą Komisję ds. Legalizacji) i NSZZ „Solidarność” (26 września 1988 r. ukonstytuowała się 15-osobowa Grupa Robocza na rzecz Relegalizacji NSZZ „Solidarność”), podejmując z nimi bezpośrednie rozmowy, a zaraz po formalnym zalegalizowaniu tej ostatniej (17.04.1989), zapraszając jej przedstawicieli na posiedzenia senatu.²⁸ Tylko kilku rektorów w Polsce na taki krok się wówczas zdecydowało, pozostali woleli poczekać na rozwój wypadków, czytaj: wynik czerwcowych wyborów.

Podobną niezależność wykazywał Cackowski także w stosunku do Służby Bezpieczeństwa, na co zwraca uwagę Marcin Kruszyński.²⁹ Gdy sąd ponownie odmówił zalegalizowania Niezależnego Zrzeszenia Studentów, 29 maja 1989 r. studenci UMCS – podobnie jak ich koledzy z wielu miast akademickich w Polsce – podjęli strajk okupacyjny na Wydziale Humanistycznym. „Następnego dnia funkcjonariusze SB udali się na spotkanie z rektorem Cackowskim, proponując zastosowanie sankcji wobec manifestujących studentów, z relegowaniem ich z uniwersytetu włącznie. Oficerowie nie wykluczali również jakichś rozwiązań siłowych, mających na celu odblokowanie zajmowanego przez młodych budynku. Jednakże i tym razem, jak czytamy w zapisie powyższej rozmowy, profesor „wykazał daleko idącą ostrożność w działaniach dyscyplinujących”. Jedyne co zaproponował, to przeniesienie zajęć z okupowanego lokalu do innych pomieszczeń.”³⁰ To fakt wiele mówiący o ówczesnej postawie Cackowskiego.

Kruszyński nie zna tych czasów z autopsji, odmiennie niż o pokolenia starsi od niego inni lubelscy historycy, profesorowie Z. Zaporowski (autor) i W. Śladkowski (recenzent) – nawiasem mówiąc przez lata jego partyjni towarzysze, którzy ulegli politycznej poprawności/„zbiorowej amnezji”, akceptując obiegową tezę o Cackowskim jako o człowieku „z minionej epoki”, którego partia postawiła na czele uniwersytetu, a zmiótł „wiatr historii”. Bo taki, a nie inny, jest ogólny wydzwięk odnośnego fragmentu opowieści, przygotowanej z racji jubileuszu 70-lecia UMCS.

Nie dziwi mnie zatem zupełnie, że na pytanie, jakie ma w III RP polityczne samopoczucie?, Profesor odpowiadał:

„Mam samopoczucie postkomucha, bo takie samopoczucie narzuca mi panująca ideologia i propaganda, w której intencji określenie «postkomuch» jest piętnem, którego jednak nie musi się nosić jako czerwonej łaty na rękawie czy na plecach. Jest to pewien ciężar, którego jednak nie traktuję jako wyłącznie ciężaru. Poza ciężarem jest w nim też coś wartościowego, coś pozytywnego, co konstituuje moją osobowość. W tym samopoczuciu zawarty jest stosunek do PRL, a w nim dwa elementy: doceniam wielkie dokonania PRL, w tym uczłowieczenie chłopstwa, a w takim określeniu zawarta jest nie tylko syntetyczna pochwała PRL, ale także wielkie oskarżenie czasów przedwojennych. Świadom jestem także wad, przewin, a nawet zbrodni (w okresie stalinowskim) epoki PRL. Do udziału w zbrodniach się nie poczuwam, ale poczucie dyskomfortu z różnych powodów mam: bytem politycznie aktywny w tamtym czasie, więc i odpowiedzialny moralnie się czuję. Nie przed każdym jednak gotów jestem się spowiadać. Owszem, są tacy, których postępowanie wzbudza we mnie wyrzuty sumienia, ale są i tacy, których gotowość oskarżania, sądzenia i oszczędzania nie wzbudza we mnie skruchy, ale bojowość. Gdy w roku 1980 ktoś ode mnie starszy

²⁷ Uchwała senatu UMCS z dnia 17 stycznia 1989 roku, AUMCS sygn. A/47 Protokoły z posiedzeń senatu UMCS I–V 1989 (kadencja prof. dr hab. Zdzisława Cackowskiego).

²⁸ Na posiedzenie Senatu 31 maja 1989 roku Cackowski zaprosił dr Ryszarda Setnika, przewodniczącego NSZZ Solidarność UMCS, uznając tym samym fakt legalnego istnienia związku. Warto dodać, że Setnik będąc szefem niejawnych struktur NSZZ „Solidarność” na UMCS, był przy okazji adiunktem w Instytucie Filozofii i uczeniem Cackowskiego. Takie to były czasy!

²⁹ M. Kruszyński, op.cit., s. 3–73–375.

³⁰ Tamże, s. 375.

i bardziej niż ja dla PRL zasłużony oraz PRL-em obciążony stał się bardzo aktywnym działaczem „S”, to mu powiedziałem, że nam nie wypada, że my powinniśmy być po właściwej nam stronie, i po tej stronie ślepiami świecić (za co należy), ale i bronić tego, co obrony godne. W każdym razie, czerpiąc z mojego życiorysu PRL-owskiego zarówno satysfakcję (społeczno-polityczną i osobistą), jak też doznając pewnych przykrości (bo pewne, że bez win nie jestem, choć nie przekraczają one – moim zdaniem – zwykłej ludzkiej miary), za wielką sumaryczną satysfakcją jest mi to, że nie muszę siebie zdradzać, wyrzekać się siebie. Jest w tym zdaniu także pewna pochwała obecnej rzeczywistości, która jednak takich jak ja nie **zmusza brutalnie** do zapierania się siebie. Ona tylko do tego – **niekiedy dość mocno** – skłania, czemu słabi ulegają, a czego konsekwencją jest wielki obszar fałszu i zakłamania, czyli wielka demoralizacja. Więc: mocno skłania, ale nie zmusza.”³¹

Jest w tej wypowiedzi ból i gorycz, ale jest też godność i siła moralna, pozwalająca zachować dystans wobec świata. Ma Profesor świadomość konsekwencji swoich życiowych wyborów, również popełnionych błędów, ale przecież „Tylko błędy tworzą życie” – by ponownie przywołać tę filozoficzną, głęboko humanistyczną myśl z tytułowego motto tego artykułu.

³¹ Wywiad dla portalu racjonalista.pl z grudnia 2006 r.: *O człowieku, nauce, religii i etyce. Rozmowa z profesorem Zdzisławem Cackowskim*. Zob.: <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5165/k,2>

Prof. dr hab. Jan Pomorski, metodolog i filozof nauki, dyrektor Centrum Badawczo-Wdrożeniowego e-Humanistyka UMCS w Lublinie.

Lech Witkowski

Na krawędzi: fenomen filozoficzny Zdzisława Cackowskiego

„Filozofia rozwijająca się, jak każda dynamiczna dyscyplina wiedzy, żyje na krawędzi wyznaczonej przez przecięcie się dwóch płaszczyzn – płaszczyzny tego, co już wiadome i rzeczywistości lub pozornie pewne, i płaszczyzny tego, czego jeszcze nie wiemy lub o co nawet jeszcze pytać nie umiemy¹.”

Zamierzam w krótkiej wypowiedzi spojrzeć na postawę intelektualną mojego promotora pracy doktorskiej z roku 1980², z którym przez lata pozostawaliśmy w serdecznej relacji mimo stosunkowo rzadkich spotkań. Zrobię to przez pryzmat szczególnej dla mnie perspektywy, wynikającej z moich zainteresowań badawczych. Moją uwagę przykuwają bowiem poszukiwania efektów spojrzenia na jego tożsamość bardziej teoretycznie, a nie tylko biograficznie, czy wręcz wbrew jego (auto)biograficznej perspektywie. Skłonny jestem także analizować cechy jego profilu filozoficznego zadając pytanie o zmiany, jakim ulegały jego dokonania i zakresy dociekań. Chcę także wskazać przykłady kategorii, jakimi Zdzisław Cackowski wyróżnia się filozoficznie po dziś dzień, co dopiero być może z dystansu czasowego widać – przynajmniej jak to jest w moim przypadku. Do takiego podejścia czuję się przygotowany zarówno swoimi własnymi pracami badawczymi ostatnich lat³ jak i najnowszą lekturą – i być może najpełniejszą – prac samego filozofa, podjętą przy okazji sympozjum Jemu poświęconemu, za które jestem wdzięczny organizatorom, w tym zwłaszcza profesorowi Markowi Hetmańskiemu. Uwagi poniższe stanowią zresztą w moim odczuciu dopiero pewną ramę programową do podjęcia zadania bardziej wnikliwej analitycznie

¹ Z. Cackowski, *Jedność i wielość. Działanie i poznanie. Wykłady z materializmu dialektycznego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1975, s. 24.

² Praca opublikowana później jako: L. Witkowski, *Filozofia nauki Ferdynanda Gonsetha na tle problemów współczesnego racjonalizmu*, Wydawnictwo UMK Toruń 1983.

³ Por. Lech Witkowski, *Przełom dwoistości w pedagogice polskiej. Historia, teoria, krytyka*, Oficyna Wydawnicza „Impuls”, Kraków 2013.

i rekonstrukcyjnie pracy nad spuścizną intelektualną tego jakże urokliwego człowieka i akademika, przyjaznego i skupionego zawsze w rozmowie z partnerem. Taki obraz Profesora mam przed oczami.

* * *

Najpierw odnotuję niektóre aspekty działalności Profesora, które wydają mi się kluczowe z mojej perspektywy, ze świadomością ich dyskusyjnego charakteru dla obiegowego portretu. Pomijam w końcu wyróżniające się oznaki statusowe, obejmujące funkcję rektora uniwersytetu czy działacza politycznego jako nie mające tu większego znaczenia. Po pierwsze zatem, zasługuje na podkreślenie, że w latach 70. Zdzisław Cackowski był jednym z nielicznych polskich filozofów⁴, których interesowała już badawczo tradycja frankofońska epistemologii i którą cenił⁵. Znając język francuski czytał w oryginale i wykorzystywał Gastona Bachelarda, a z wcześniejszych autorów – urodzonego w Lublinie Émila Meyersona⁶, jego syna Ignace'a⁷, czy Henri Poincaré'go, a także relacjonował wyniki syntez historyczno-filozoficznych z tego obszaru językowego z najnowszej literatury⁸. Stąd nie dziwi, że przystał z zainteresowaniem na moją propozycję pisania doktoratu u niego o filozofii nauki Ferdynanda Gonsetha na tle epistemologii XX wieku. Czuł potrzebę myślenia w kategoriach „nowego racjonalizmu” czy „nowego ducha nauki”, poza dominacją anglosaską. Rozumiał także doskonale, że nie każda wersja marksizmu daje się bronić poznawczo, a tylko taka, którą stać będzie na nowe ujęcia epistemologiczne, wolne od dominujących uproszczeń nie tylko dogmatyzmu stalinowskiego ale i anglosaskiej proveniencji⁹. Nie darmo we wstępie do promocyjnej edycji prac Ludwika Flecka pisał w roku 2006 o potrzebie zapoznawania się z tradycją frankofońską w epistemologii, widąc że było to dla niego ważne, mimo że wiem doskonale jak niewiele ja i inni w tym obszarze zrobiliśmy¹⁰. Po drugie, zasługuje na podkreślenie, że Profesor Cackowski, mając twórczy i chłonny umysł, nieustannie się uczył nowych rzeczy, pisał i poprawiał treści prezentowane w kolejnych wydaniach swoich kanonicznych podręczników, upubliczniając w nich także własną niepewność i kroczący charakter rozważań. Warto by wręcz prześledzić zakresy tych zmian uwypuklając kolejne kierunki zainteresowań, jak chociażby uwzględnienie z czasem badań nad mózgiem czy odniesień cybernetycznych. Po sześciu modyfikowanych wydaniach *Głównych zagadnień i kierunków filozofii*, przygotował nowy podręcznik pt. *Zasadnicze zagadnienia filozofii*, włączając do niego nowe, współczesnione treści składające się na teorię poznania¹¹. Po trzecie – i przywiązuję do tej uwagi dużą wagę – choć był marksistą i z czasem działaczem partyjnym aż szczebla centralnego, a zarazem deklaratywnie uprawiał głównie filozofię marksistowską i troszczył się o jakość epistemologii marksizmu, to przecież dziś doskonale rozumie-

⁴ Prawdopodobnie był wręcz jedynym polskim filozofem marksistą czytającym w tym czasie Bachelarda po francusku. Por. pozycje bibliograficzne [w:] Zdzisław Cackowski, *Człowiek jako podmiot działania praktycznego i poznawczego*, Książka i Wiedza Warszawa 1979, s. 748.

⁵ Por. rozdział „Francuska koncepcja determinizmu historycznego”, w: tamże, s. 521–604.

⁶ Jak sam podkreślał, zainteresował się nim bardziej zwłaszcza w latach 90. po doktoracie obronionym u mnie jako promotorze – działała już sztafeta pokoleniowych studiów frankofońskich. Pisał w szczególności: „Próbę jednoznaczego określenia podstawowej funkcji rozumu podejmował na początku wieku XX Émile Meyerson, na co zwróciłem uwagę dzięki pracy doktorskiej Adama Dubika z UMK (promotor – prof. Lech Witkowski)”, [w:] Zdzisław Cackowski, *Rozum między chaosem a „Dniem Siódmym” porządku*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1997, s. 47.

⁷ Por. Z. Cackowski, *Człowiek jako podmiot działania...*, op. cit., s. 522–561.

⁸ Por. omówienia prac takich autorów jak: Marcel Detienne, Jean-Pierre Vernant, [w:] Z. Cackowski, *Człowiek jako podmiot działania...*, op. cit., s. 561–604.

⁹ Profesor Barbara Skarga bez wahania przyjęła jego prośbę o zostanie recenzentką w moim przewodzie doktorskim, dając mi odczuć sympatię także dla promotora.

¹⁰ Cenię niezwykle nie tylko ze względów osobistych następującą uwagę Z. Cackowskiego: „Znamienne dla dzisiejszych sporów naukoznawczych jest to, że dominuje w nich literatura anglojęzyczna, częściowo uczestniczą w nich prace niemieckojęzyczne i rosyjskojęzyczne, natomiast język francuski – mimo niezwykle doniosłego dorobku w tym zakresie – jest tu prawie nieobecny. W Polsce inicjatywę przewyżczania tej jednostronności podjął przed laty Lech Witkowski”, por. Zdzisław Cackowski, *Wstęp do drugiego wydania polskiego*, [w:] Ludwik Fleck, *Psychosocjologia poznania naukowego. Powstanie i rozwój faktu naukowego oraz inne pisma z filozofii poznania*, pod redakcją Zdzisława Cackowskiego i Stefana Symotiuka, Wydawnictwo UMCS Lublin 2006, s. 20.

¹¹ Autor uwypukla zmiany we wprowadzeniu do tomu: Z. Cackowski, *Zasadnicze zagadnienia filozofii*, Książka i Wiedza.

my, że byłoby z krzywdą dla niego jako intelektualisty sprowadzenie jego dociekań i zasług do tej ramy biograficznej i narracyjnej. Osobną zresztą sprawą, jak już badać jego funkcjonowanie w marksistowskiej myśli filozoficznej w Polsce, byłoby prześledzenie jego relacji czy wręcz zderzenie jego recepcji i własnych odniesień w stosunku do innych postaci tego nurtu, jak chociażby Tadeusza Jaroszewskiego czy Jerzego Kmity¹². Z pewnością pod wieloma względami to był inny styl uprawiania marksizmu, w którym ze środowiskowych uwarunkowań wynikała konieczność pierwszeństwa w toczeniu akademickiej polemiki z realizmem neotomistycznym szkoły Mieczysław Krąpca, dodajmy – polemiki prowadzonej zresztą w kategoriach historyczno-filozoficznych bez napastliwości.

* * *

Z mojej perspektywy badawczej najciekawszym obecnie wątkiem okazuje się główny trop śledzony i uwypuklany przez Cackowskiego w historii filozofii, jako źródło jej narodzin i zasada postępu, gdy sam ją rekonstruował podręcznikowo; trop ten wręcz rządzi jego nastawieniem teoretycznym, zachowując wagę aktualną. Główny rys tu uwypuklany w takim ujęciu wskazuje na odsłanianie procesu dojrzewania do przezwycięzania powierzchownej dominacji rozłącznych alternatyw: dwujakości, rozszczepień, podwójności, dualizmów, dychotomiczności, jako absolutnych opozycji, z którymi niezbędna jest walka widziana w terminach zadania odcinania się od skłonności do „dezintegracji”, do „rozdawania” wiedzy i świata o nim czy proponowanego podejścia do niego, w powiązaniu z zadaniem poszukiwania jedności¹³. Już ten akcent zrywa z obiegowym, zwłaszcza w prymitywnym marksizmie i jego wersji historii filozofii, dzieleniem przestrzeni myśli na spory polaryzujące filozofię i redukujące możliwe w niej stanowiska jedynie do zantagonizowanych przeciwieństw, generujących skrajne warianty ekstremalnych alternatyw, zatrzymujących ruch myśli w dualizmach i wyborach jednego z dwóch wariantów jako jedynie słusznego przejawu postępu przeciw absolutnie zanegowanemu i potępionemu. To pozwala uwypuklić zadanie naświetlenia sposobu rozumienia przez Cackowskiego idei „dialektyki” w duchu nawiązującym do tego, co nazywam dwoistością¹⁴ jako złożonością strukturalną uwikłaną w trudną jedność, o charakterze ambiwalencji wymuszającej dostrzeganie sprzężenia zwrotnego, powiązań i oddziaływania wzajemnego – zatem promującej „oscylację” w postawie, chroniąc przed redukcijną jednostronnością. Mamy tu w szczególności uczulenie na minimum kultury filozoficznej polegające na uznaniu, że zajęcie stanowiska w sporze wymaga często przezwycięzenia samego sporu i jego za wąskiej ramy dostępnych alternatyw. Błędne rozstrzygnięcia w pojedynczych kwestiach nie dyskwalifikują zarazem w całości, a zmuszają do namysłu nad ich genezą i aspektami do wykorzystania w nowym otwarciu perspektywy badawczej. Chodzi więc o dialektykę zespalającą, poszukującą jedności przeciwieństw, reintegrującą ujęcia z przeciwnych stron. Ten koncyliacyjny charakter dotyczył tak podejścia poznawczego Zdzisława Cackowskiego jak i jego postawy w życiu, co zderzało go z sytuacjami, gdy w otoczeniu rodziły się skrajne alternatywy, w tym z zaangażowaniem jego asystentów i współpracowników w uskrajnioną, jego zdaniem i bolesną dla niego, opozycję partyjno-solidarnościową w latach 80., czym jednak nie będę się zajmował.

* * *

Traktując mój głos w dyskusji wokół dokonania Zdzisława Cackowskiego jako wyraz głośnego myślenia o zadaniu nakreślenia możliwie pełnego obrazu jego myśli, jej wagi i aktualności,

¹² Wygląda na to, że były to równoległe sposoby uprawiania filozofii marksistowskiej, bez wzajemnego przenikania, nawet się ignorujące, mimo czasem wspólnych inicjatyw wydawniczych z gronem szkoły poznawczej, por. np. *Poznanie, umysł, kultura*. Praca zbiorowa pod redakcją Zdzisława Cackowskiego, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982.

¹³ Wskazując na „rozdwojenie wiedzy ludzkiej i rozdwojenie świata” jako cechy „kultury przedfilozoficznej” Z. Cackowski formułuje wręcz konstytutywny jego zdaniem dla narodzin filozofii „zakaz rozdawania świata”, por. Zdzisław Cackowski, *Jedność i wielość. Działanie i poznawanie. Wykłady z materializmu dialektycznego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1975, ss. 7, 9, 28.

¹⁴ Dwoistość obejmuje rozpoznanie zdwojenia, dwubiegunowości w napiętym zespoleniu, jest więc zaprzeczeniem dualizmu jako rozdwojenia rozbijającego jedność na rozłączną alternatywę. Terminy te Z. Cackowski niesłusznie czasem stosuje zamiennie. Ostatecznie w pracach filozofa górę bierze bliska mi zasada uwypuklania pozytywnej wersji dwoistości jako zdwojenia przeciw szkodliwemu dualizmowi jako rozdwojeniu.

chciałbym też zauważyć, że grożą nam tu nieustannie „powidoki”¹⁵ oparte na odnoszeniu się do rysów jedynie rzucających się w oczy czy pozostałości ostentacyjnie uwypuklanych w rolach akademickich czy politycznych. Nie możemy być zakładnikami resztek biograficznych okoliczności, traktowanych jako podstawowej przesłanki, gdy stanowią one jedynie zastępcze efekty działań interpretacyjnych zbyt płytkich i epatujących śladami jedynie, mimo że biograficznie znaczącymi (jak aspekt tożsamości „marksisty”, dziś nie stanowiący przesłanki wartościowych dociekań o szerszym walorze). Nie wystarczy odnosić się do ujęć autobiograficznych, czy opierać na idiosynkrazjach, zamiast na dominantach kategoriaalnych w przekroju całej twórczości. Trzeba znaleźć sposób podejścia do tej twórczości odstawiający jej szerszy potencjał, może nawet nie do końca rozpoznany jako znaczący dla przyszłości, już przecież nie danej jego autorowi. Jak sam pisał, wartościowe filozofie stają się „żyzną glebą” dla myśli zdolnej z nich czerpać impulsy¹⁶.

Trzeba także zdobyć się na wysiłek postępowania wbrew autorowi, ze świadomością pewnych przywar narracyjnych jego perspektywy przeżywanej w jej aktualności przecież. Nie ma powodu nie wskazywać na ułomności narracji czy wręcz tropy prowadzące dziś już na manowce. Przesadną wagę moim zdaniem Z. Cackowski nagminnie przywiązuje do troski o narracyjne, obiektywizujące uwypuklenie „swoistości” procesów i zjawisk, co ma często nikłą wartość poznawczą. Sam zresztą krytykował Karla Poppera za niesłuszne (nie)widzenie swoistości¹⁷. Jeszcze bardziej w tym kontekście ciąży wskazywanie na „osobliwość marksizmu” w przypisywaniu jego wyjątkowości postulowanych nastawień, gdy tyle jego wariantów nie zasługiwało na żadne wpisywanie w wartościowe wersje myślenia, a zarazem uznanie pewnych założeń nie skazywało na obowiązek identyfikacji z taką różnorodnością politycznie też w końcu etykietowanego nastawienia. Jeszcze mniej zachwyca przypisywanie pewnym stanom i treściom „konieczności”, łącznie z rzekomą koniecznością wpisywania swoich dokonań jedynie w perspektywę marksizmu, jako jakiejś szczególnej etykiety anektującej sobie na wyłączność słuszne nastawienia. Nie darmo też w końcu w roku 1990 filozof zdobył się na uznanie doświadczenia fiaska socjalizmu¹⁸. Zwraca uwagę także wskazywanie na „lepkosć poznawczą” w procesach nabywania i przekształcania wiedzy¹⁹. Wreszcie, z pewnością nie wystarczy dziś ujmowanie typologii głównych koncepcji „przedmiotu i zadań filozofii” współczesnej w symbolicznym podziale na „marksistowską, neopozytywistyczną, neotomistyczną i egzystencjalistyczną”²⁰, gdyż zbyt wiele tu umyka z pola widzenia, a zarazem zbyt wiele musiałyby być zaliczone do marksizmu.

* * *

Wszystko to nie przesłania dla mnie szczególnie wartościowych i dziś nadal mających ogromne znaczenie akcentów w twórczości Zdzisława Cackowskiego jak chociażby operowania dialektycznym tropem dwoistości (przeciw dualizmom) w perspektywie historycznej, teoretycznej i krytycznej, czy zrozumienia wagi procesów oscylacji jako tworzących porządku dwubiegunowego (po „torze sinusoidalnym”) zespalania praktyki myślenia i działania w trudne całości, zarazem bez widzenia

¹⁵ Godne podkreślenia wydaje mi się to, że Z. Cackowski był bodaj pierwszym wśród polskich filozofów, który operował terminem „powidoki” w kontekście wskazującym na zjawisko „zastępczych działań” poznawczych, por. *Człowiek jako podmiot działania...*, cyt. wyd., ss. 360, 368–369.

¹⁶ Por. Z. Cackowski, *Zasadnicze zagadnienia filozofii*, Książka i Wiedza, Warszawa 1989, s. 55. Uwaga ta kapitalnie odrzuca nie wprost podejście do kultury jako nadbudowy, co doceniam także u innych autorów, jak Helena Radlińska, por. Lech Witkowski, *Niewidzialne środowisko. Pedagogika kompletna Heleny Radlińskiej jako krytyczna ekologia idei, umysłu i wychowania: o miejscu pedagogiki w przełomie dwoistości w humanistyce*, Oficyna Wydawnicza „Impuls”, Kraków 2015.

¹⁷ O Popperze pisał, krytykując jego zdaniem zbyt abstrakcyjne podejście do umysłu: „Swoiście ludzka kultura – mimo ciągłych deklaracji – umyka z pola jego analiz”, Por. *Poznanie, umysł, kultura*, praca zbiorowa pod redakcją Zdzisława Cackowskiego, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982, s. 360.

¹⁸ Dokładnie rzecz biorąc napisał w kontekście „dezintegracji” i „degeneracji” pracy w realiach ustrojowych Polski: „Doświadczenia realnego socjalizmu jednak mają smutną wymowę. Mimo to wszakże przedwczesny byłby ostateczny negatywny werdykt w sprawie wartości socjalistycznych doktryn”, por. Z. Cackowski, *Filozoficzne problemy człowieka i społeczeństwa*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1990, s. 95.

¹⁹ Por. *Rozum między chaosem a...*, cyt. wyd., s. 113. Także w: *Filozoficzne problemy człowieka...*, cyt. wyd., s. 61.

²⁰ Por. Z. Cackowski, *Zasadnicze zagadnienia...*, cyt. wyd., s. 11.

tu relacji między hipostazami²¹. Profesor szczególnie dobrze rozumiał, że najważniejsze problemy filozoficzne wymagają dialektycznego dostrzegania wyzwania analogicznego do pułapki Scylli i Charybdy, na wzór poznawczy powtarzający dylemat Odyseusza²². Dopiero też z perspektywy wprowadzającej kategorię „ekologii umysłu” Gregory Batesona²³ widać doskonale wagę akcentów Zdzisława Cackowskiego upominających się o „środowisko” techniczne, kulturowe i społeczne człowieka w kategoriach rozszerzających pojęcie umysłu poza funkcje mózgu i ręki²⁴.

W końcowych pracach filozofa spotykamy wiele akcentów egzystencjalnych, obejmujących zjawiska bólu, cierpienia i lęku ludzkiego, a wskazujących na naszą wręcz uniwersalną niepełnosprawność w zderzeniu ze światem, z którego złożonością zwykle człowiek sobie nie radzi²⁵.

Wszystko to pozwala sądzić, że wartościowa i pouczająca nadal lektura tej spuścizny jest nie tylko możliwa, ale zapewne dostarczy impulsów, których wagi nadal nie jesteśmy świadomi. Warto więc do tej twórczości refleksyjnie i rekonstrukcyjnie powracać, jak to ma miejsce w przypadku każdego wartościowego fenomenu filozoficznego.

A takim z pewnością był Zdzisław Cackowski. I jest wciąż jego dzieło, zaskakujące nadal żywymi intuicjami, mimo że ciągle niedoczytanymi i niedocenionymi. Receptory myśli, także w czytaniu mają zawsze charakter „filtrów”, przyjmując jedynie wyselekcjonowane bodźce, „nie reagując na inne”²⁶. Praca myśli wymaga z czasem także zmiany samych filtrów. To zadanie przed nami.

²¹ Zupełnie niewykorzystany został, mimo kontaktu ze środowiskiem pedagogicznym, trop wskazujący dla dydaktyki ogólnej i praktyki nauczania na wagę idei oscylacji i oscylowania między biegunami pozornych alternatywnych treści i materiałów.

²² Przykład takiego ujęcia to problem: „Jak opisać rozwój umysłu ludzkiego w kategoriach ciągłości i zmienności zarazem, jak przepłynąć między Scyllą dyskontynualizmu a Charybdą kontynualizmu”, por. *Człowiek jako podmiot...*, cyt. wyd., s. 421.

²³ Por. *Humanistyczne wyzwania ekologii umysłu: Gregory Bateson w Polsce*, pod redakcją Moniki Jaworskiej-Witkowskiej i Lecha Witkowskiego, Fundacja na Rzecz Myślenia im. Barbary Skargi, Warszawa 2016.

²⁴ Por. *Filozoficzne problemy człowieka i ...*, cyt. wyd., s. 11–36.

²⁵ Czytając Witolda Gombrowicza dla filozofii Z. Cackowski formułuje i taką wymowną w tym kontekście myśl: „Świadomość autentyczna i zakotwiczona w bycie jest zatem świadomością oscylującą między bólem i rozkoszą, lękiem i nadzieją; autentyczna świadomość jest zatem świadomością rozróżniającą i oceniającą, wartościującą”, por. Z. Cackowski, *Filozoficzne problemy człowieka...*, cyt. wyd., s. 121.

²⁶ *Główne zagadnienia i kierunki...*, cyt. wyd., s. 327.

Prof. dr hab. Lech Witkowski, filozof, pedagog, profesor zwyczajny w Akademii Pomorskiej w Słupsku, doktorat obroniony u prof. Zdzisława Cackowskiego na UMCS w roku 1980.

Spis treści

Od Redakcji „RES HUMANA”	I
Wstęp	
Marek HETMAŃSKI	I
Paweł BYTNIEWSKI	
Myślenie jako działanie: filozofia Zdzisława Cackowskiego	II
Marek HETMAŃSKI	
Zdzisława Cackowskiego teoria poznania, wiedzy i działania	IV
Andrzej KAPUSTA	
Neuroantropologia Zdzisława Cackowskiego	VII
Jan POMORSKI	
Zdzisława Cackowskiego biografia nieoczywista	X
Lech WITKOWSKI	
Na krawędzi: fenomen filozoficzny Zdzisława Cackowskiego	XVI

Irena
PESZKIN-BOBIŃSKA

Trzeba iść

*Poprzez pustynie
skwarów zabójczych
i burz,
co bezlitośnie
piachem w oczy –
iść nieraz trzeba
z bagażem
rozmiarów nieziemskich,
bo nawet,
anioł najmocniejszy
rady by nie dał.
Iść trzeba dalej,
jak wielbłąd z jukami
i wierzyć, że ciężar
lżejszym się wyda,
chociaż
przybywa doświadczeń,
piach łąy ostatnie
wyciska
i żadnej oazy jeszcze nie
widać.*

KRONIKA

Z działalności Rady Koszalińskiej TKŚ

Członkowie Rady Koszalińskiej TKŚ podejmowali w czasie tegorocznych spotkań tematy związane m.in. z powojennym osadnictwem polskim na Ziemi Koszalińskiej. Na przykładzie osobistych doświadczeń i przeżyć mówiono o latach powojennych, czasie wielkiego wysiłku związanego z tworzeniem warunków życia i pracy. Czasie, który każdego kolejnego dnia kształtował przekonanie, że wskrzeszając tu Polskę „buduję mój dom”, „moje miejsce na zawsze”. W wielu przypadkach wspomnienia uczestników spotkań, głęboko poruszały swoją szczerością, autentyzmem i wielkim duchem patriotyzmu.

W początkowych dniach marca, w dniach dorocznych obchodów wyzwolenia naszych ziem spod okupacji uczestniczyliśmy w złożeniu kwiatów w miejscach pamięci tych, którzy dla nas i za nas poświęcili swoje życie.

Zastanawialiśmy się niemierniej nad tym, co się dziś w Polsce dzieje, o działaniach obecnych władz, które odbierają Polakom ich godność i prawo do życia w spokoju, pozbawionego strachu o swoją przyszłość. Mówiliśmy o bezprecedensowym fałszowaniu naszej bliższej i dalszej przeszłości w systemie edukacji szkolnej i mediach publicznych, o milczeniu polskiego Kościoła wobec postępującego zamachu na ludzką prawdę. Doświadczamy bolesnych dni z nadzieją, że w naszych rękach znajduje się siła, która odmieni nasz obecny los.

Mgr Genowefa KLINGIERT

Wiceprezes Koszalińskiej Rady TKŚ



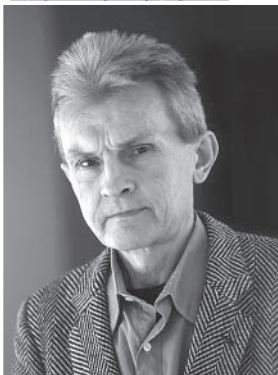
Dokończenie z IV s. okł.

Henryk DOMAŃSKI **Szanse na nową lewicę**

pogodzenia strategii populistycznej z wymaganiami gospodarki rynkowej, podobnie jak dokonywało się to w latach 2005–2007. Z wypowiedzi liderów Prawa i Sprawiedliwości wynika, że zwolennicy programu „500+”, „Rodzina 500+” i forsowania innych wydatków zderzają się z przeciwnikami wprowadzenia podatku bankowego czy podatku od sklepów wielkopowierzchniowych. Premier Morawiecki występuje w roli Zyty Gilowskiej.

Wyłonienie się silnej lewicy zrationalizowałoby polską sceną wyborczą. Brak partii lewicowej doprowadził do wynaturzenia systemu politycznego, sprowadzonego od 2005 roku do rywalizacji między dwiema prawicowymi partiami. Pierwszym krokiem w kierunku przywrócenia elementarnej równowagi byłoby wejście do parlamentu SLD. Wprawdzie partia ta jest w dalszym ciągu namiastką nowoczesnej lewicy, ale lepszej nie mamy. Prawdopodobnie więc w stronę Sojuszu skierują się zwolennicy integrowania się Unii Europejskiej, a jednocześnie opowiadają się za złagodzeniem aborcji, wprowadzeniem *in vitro* i nie mają problemów z odizolowaniem Kościoła od władzy.

Szanse na nową lewicę



W świetle wyników sondaży z marca b.r., SLD byłaby trzecią siłą w nowym Sejmie, z poparciem na poziomie 8–10 proc. Znacznie większy jest w Polsce odsetek osób deklarujących się po stronie lewicy. W świetle danych Europejskiego Sondażu Społecznego z 2016 roku kategoria ta kształtowała się na poziomie 22% – ponad dwukrotnie mniej w porównaniu z osobami deklarującymi przynależność do prawicy (47,1%). Nie zmieniło się to od 2002 roku, kiedy odsetki te kształtowały się odpowiednio na poziomie 25,8 i 44,1.

Czy lewica, która tkwiła w zawieszeniu odżywa? Szanse wyłonienia się tej formacji zależą od zapotrzebowania ze strony społeczeństwa i od stworzenia wiarygodnej partii, która przejęłaby część elektoratu PiS i PO. Co do tego pierwszego, to wyniki cytowanych sondaży sygnalizują wzrost zapotrzebowania na partię lewicową, niezależnie od tego czy utrzyma się tendencja do wzrostu poparcia. Oddzielmy dwa wymiary lewicowości: tradycyjny, wyrastający z interesów ekonomicznych, o podłożu socjalnym, i lewicowość zorientowaną na obronę pryncypialnych wartości związanych z emancypacją kobiet, walką z homofobią, uprzedzeniami rasowymi, dyskryminacją imigrantów i występującą w obronie ludzi upośledzonych, którzy nie potrafią się samodzielnie obronić. Ta pierwsza została zagospodarowana w Polsce przez PiS, drugą porzuciły partie opozycyjne, a w każdym razie nie ma ona skutecznego obrońcy. Wyniki cytowanych sondaży mogą być traktowane jako odzwierciedlenie trendu cywilizacyjnego, który dociera i do nas. Zbliżamy się do grupy krajów zaliczanych do wysokiego poziomu zamożności. Na tym etapie ludziom coraz bardziej zależy na demonstrowaniu tolerancji w połączeniu ze sprzeciwem wobec anachronicznego patriotyzmu i zaściankowości.

Drugim aspektem jest przejmowanie wyborców PiS i PO. Zapotrzebowania na lewicę nie zaspokoi Platforma Obywatelska. Przeciwdziałają temu koniunkturalizm i rozbitcie tej partii w kwestiach światopoglądowych, czego ilustracją była ucieczka posłów PO przed skierowaniem do komisji sejmowych projektu ustawy dotyczącej liberalizacji aborcji. Platforma jest klasycznym reprezentantem strategii „łap kogo się da” (catch all). Za deklarowanymi przez nią hasłami tolerancji obyczajowej kryje się preferowanie bieżących korzyści kosztem realizacji trudnych i ważnych zadań, które grożą utratą popularności. Specjalnością PO było i jest nagłaśnianie drugorzędnych problemów i kreowanie lęków przed PiS-em. Jest to partia kojarzona z neo-liberalizmem: popieraniem prywatyzacji i mechanizmów wolnorynkowych, kosztem ludzi lokujących się na dole hierarchii społecznej, którzy nie są w stanie zatroszczyć się o swe interesy samemu. Alternatywą dla partii lewicowej nie będzie też Nowoczesna.pl. Silny akcent położony na zmniejszenie nierówności płci, zwalczanie przemocy domowej i dyskryminacji nie zmieniają faktu, że Nowoczesna postrzegana jest jako prorynkowy wariant PO. Zgodnie z zapowiedziami ma być ona partią klasy średniej, która skieruje Polskę na tory modernizacji, ale klasa średnia preferuje stabilizację, bliską postawom konserwatywnego mieszczaństwa.

Na długotrwałe poparcie ze strony lewicy nie powinna również liczyć partia rządząca. Chodzi o lewicę socjalną. Elektorat obozu Zjednoczonej Prawicy koncentruje się wśród emerytów, rencistów i w klasach niższych. Jednak PiS prędzej czy później stanie przed nierozwiązywalnym, jak sądzę, problemem

Dokończenie na s. III okł.

